

AS

Nr. 1.

5 STYCZNIA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

Marzenia karnawałowe...

Nasz NOWY *Konkurs*

na najestetyczniejszy wygląd pani...

podczas uprawiania następujących sportów:
1) Narciarstwa, 2) Hippiki, 3) Myślistwa, 4) Tenisu 5) Automobilizmu.





Zamieszczone wokoło zdjęcia mogą do pewnego stopnia być wzorami dla nowego konkursu.

Zdjęcia te nie mogą być w żadnym razie pozowane, lecz winny oddać rzeczywiste fragmenty jakiegoś wyczynu sportowego, w ramach którego dopiero występuje na plan pierwszy postać danej kobiety, a ta skolei zdobywać będzie głosy Czytelników, oceniających jej urodę, estetykę pozy sportowej i stroju, wreszcie sharmonizowanie tych walorów z przedmiotem sportu (nartami, strzelbą itd.). To zespolenie wszystkich wyliczonych walorów, odpowiednia ich równowaga z równoczesnem podkreśleniem technicznej wartości danej fotografji, decydować będą o przyjęciu zdjęcia do konkursu. Czytelnicy znajdą obszerne pole do wypowiedzenia swych zapatrywań na temat piękna w sporcie kobiecym, a przez umieszczenie swego głosu na odpowiednim kuponie i przesłanie go do nas spełnią swój „sędziowski" obowiązek.





Jeszcze nie przebrzmiały echa naszego pierwszego konkursu, w którym piękny uśmiech odegrał decydującą rolę, a już na szpalty „Asa" wypływa nowa emocja, dla licznych Czytelników naszego Magazynu w postaci „Konkursu na najestetyczniejszy wygląd pani", ale tylko podczas uprawiania następujących sportów: Narciarstwo, Hippika, Myślistwo, Tenis i Automobilizm.

Nie wątpimy, że ten rodzaj konkursu, który zresztą zagranicą uprawiają z powodzeniem największe magazyny Starego i Nowego Świata i który wszędzie tam cieszy się olbrzymiem powodzeniem, zyska i w naszym kraju sympatję i zrozumienie dla swych niecodziennych walorów i co zatem idzie wciągnie w swój rydwan dosłownie wszystkich Czytelników „Asa".

O cóż w nim chodzi? Mamy wybrać pięć pięknych pań, które reprezentować będą najwyższe walory estetyki sportu kobiecego, podzielonego na pięć wymienionych w tytule grup. Stanie się to na podstawie zdjęć fotograficznych, które pewnie już jutro zaczną napływać do nas z całego kraju, a przedstawiać będą narciarki, amazonki, tenisistki, automobilistki i ich koleżanki z pod znaku św. Huberta.

„Konkurs na najestetyczniejszy wygląd pani" rozpoczynamy z dniem dzisiejszym. Trwać on będzie do 1 czerwca b. r., w którym to dniu nastąpi zamknięcie listy zgłaszających się kandydatek.

Redakcja „Asa" wyznacza pięć nagród, każda dla poszczególnego działu sportowego. W ten sposób laureatka-narciarka otrzyma narty, amazonka piękną szpicrutę ze srebrną rączką, tenisistka rakietę wysokiej klasy i piłki, automobilistka praktyczny neseser podróżny, a laureatka w grupie myśliwskiej dubeltówkę.

Redakcja.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 1 — Niedziela 5 stycznia 1936 — Rok II

ASY NUMERU 1-GO:



Tajemniczy w swej psychologji i dla Europejczyka niezrozumiały naród japoński otacza, jak wiadomo, dom cesarski zupełnie wyjątkowem przywiązaniem i miłością, co zresztą wypływa z kultu religijnego mieszkańców Nipponu. Oto pierwszy wyjazd japońskiego następcy tronu ks. Tsugu-No-Miya, potomka dynastji liczącej przeszło 3.000 lat, udającego się koleją do cesarskiego pałacu w Hayama na „week-end". Widok księcia wywołał u poddanych nieopisany entuzjazm, świadczący jak dalece psychologja Japończyka pozostała niezmieniona mimo wpływów europejskiej kultury.

Fot. Keystone — New York.

BIAŁA WRÓŻKA

Kiedy, adjutant w. ks Konstantego hr. Karol Nesselrode, żenił się z panną Teklą Nałęcz-Gorską, mówili wszyscy, że z tego małżeństwa nie wyniknie nic dorego. Pan młody, choć stosunkowo ubogi i tylko ze skromnych apanaży oficerskich żyjący, pochodził przecież ze starożytnych hrabiów niemieckich, już od dziesiątego wieku w kronikach nadreńskich notowanych, ba! był nawet stryjecznym bratem rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, a później kanclerza, prawdziwej podpory carskiego tronu. Z takiem poparciem mógłby zrobić najświetniejszą karjerę polityczną i mimo niemłodego już wieku skoligować się z pierwszemi rodzinami w Cesarstwie. Małżeństwo jego z Polką, młodą zresztą i śliczną, było mezaljansem dla obu stron: on nie mógł jej wybaczyć, że pozbawiła go łask rządu i skazała na dożywotnie nudy w prowincjonalnej Warszawie, ona jemu — że był protestantem i libertynem, że pozostawał na usługach gnębicieli jej narodu, że wreszcie objął stanowisko dowódcy żandarmerji w Królestwie, w tych czasach przedrewolucyjnych niepokojów.

Przewidywano więc coprawda, że związek ich nie potrwa długo, ale nieprzypuszczano, by mieli rozstać się wtedy właśnie, gdy zbliżyć ich powinno dziecko. Ale i Marysia nawet, jasnowłosa dziewczynka o wyrazistych chabrowych oczach, zaostrzającym się konfliktom zapobiec swą wdzięczną osóbką nie mogła. Matka, targana wyrzutami sumienia i ledwie nie od zmysłów odchodząca z powodu wzrastających prześladowań, spadających na jej naród z ręki męża, wysyła dziecko na wychownie do Petersburga, do domu Jego Ekscelencji kuzyna-ministra i zaczyna zabiegać o uzyskanie rozwodu. Tymczasem Marysia chowa się na posadzkach stryjowskich salonów, nieomal na kolanach dyplomatów europejskich W towarzystwie kuzynek. Heleny i Marji, które już w tych latach znacznie swą urodą przewyższa, pobiera wcale gruntowną edukację i z roku na rok oddala się coraz bardziej od polskości, nasiąkając duchem wytwornego kosmopolityzmu, zdobnego we francuskie manjery. Tak mijają lata, podczas których nieszczęśliwa matka usycha z nostalgji w dalekim Paryżu, ojciec sroży się w „buntowniczej" Warszawie, odzyskanej dla Rosji po powstaniu listopadowem przez Paskiewicza, a Marja rozkwita wszystkiemi powabami wcześnie dojrzałej kobiecości.

Liczyła zaledwie lat szesnaście, gdy na przyjęciu jakiemś ujrzał ją w towarzystwie kuzynek Jan Kalergis. Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. „Pragnę poślubić tę wysoką blondynkę" — zwraca się do któregoś ze swych komilitonów, nie znając jej jeszcze osobiście. By dopiąć celu, trzeba było być tak bogatym, jak ten Grek, którego niski wzrost i brzydotę okupywało ogromne konto bankowe i szeroko rozgałęzione interesy. Co zaimponowało młodziutkiej Marji bardziej: fantastyczna suma dwóch miljonów rubli, które złożył na jej imię ,czy też znakomita tradycja, opromieniająca jego ród — trudnoby dziś dociec. Zapewne jednak nieobojętna jej musiała być myśl, że niepozorny narzeczony wywodzi się w prostej linji od średniowiecznego bohatera, który we własnej fregacie dopomógł Wenecjanom w walce z Turkami i w nagrodę otrzymał rękę córki doży Vendramina



Marja 1. voto Kalergis, 2. voto Muchanowa z domu hr. Nesselrode-Ereshoven.

oraz wspaniały, po dziś dzień stojący, pałac Vendramin-Kalergis

Jak łatwo było przewidzieć, małżeństw córki okazało się równie niefortunne, jak przed laty związek matki. Jan Kalergis, człowiek niewykształcony i prozaiczny, przy całem swem bogactwie prostacki, a wreszcie zazdrosny aż do szaleństwa, okazał się zupełnie niestosownym mężem dla młodej dziewczyny, która przez małżeństwo zdobyć chciała glejt na samodzielność i z ciekawością wchodziła w życie, dumna z hołdów, jakie składali jej dowcipowi i zdolnościom panowie z wielkiego świata petersburskiego. Po latach kniaź Wiaziemskij, świadek jej nadnewskich sukcesów napisze, że „promieniała zarówno niepokonanym urokiem sarmackiej kobiecości, jak łagodnym matowym blaskiem germańskiej Tusneldy", że „dodawała jej jeszcze więcej uroku błyskotliwość francuskiego stylu i bystrość inteligencji", że wreszcie „królowała wszędzie, gdzie tylko miano zaszczyt ją gościć". Czemże był wobec niej taki Kalergis. gdyby nawet wziąć pod uwagę, że reprezentował jedną z największych fortun w Rosji, a może i w Europie całej? Czy mógł być zresztą dla romantycznej kobiety, rozczytanej w Byronie i Mussecie, przepadającej za muzyką Liszta i Mozarta, mężem odpowiednim ktoś, kto interesował się tylko kursem akcyj i niezrozumiałemi spekulacjami? Ktoś, czyje ideały były tak odległe od ideałów byronicznych bohaterów, jak on sam od swego walecznego przodka z XV wieku?

W trzy lata po urodzeniu się córeczki, nazwanej także Marją, zapadła decyzja rozstania się. Pan Kalergis osiada w Londynie, kupuje sobie wspaniały pałac i obywatelstwo angielskie oraz skraca nazwisko o końcową spółgłoskę, a pani Kalergis wypływa na szeroki świat, stając się w krótkim czasie perłą salonów, bożyszczem poetów i artystów, niedoścignionym przedmiotem westchnień dla jednych, rozkoszną kochanką dla szczęśliwych. Uroda jej sięga właśnie zenitu, na którym utrzyma się przez długie lata jeszcze. Jeżeli wolno sądzić z portretów, jakie się dochowały, nie wydałaby się nam dziś tak piękną, jak współczesnym: jej twarz osądzilibyśmy jako zbyt pełną, nos jako zbyt długi, oczy — zbyt wąskie. A jednak zachwycano się nią w sposób, nie nasuwający zastrzeżeń „Jest naprawdę bardzo piękna — powiada o niej Delacroix, już z racji swego malarstwa wytrawny znawca urody niewieściej — kiedy, grając, wznosi oczy na podobieństwo Magdalen Guida albo Rubensa". Jej urody nie kwestjonują zresztą nawet zawistne rywalki, a wie o niej dobrze i ona sama. Dumna jednak z tego, w co wyposażyła ją natura, pozostaje przytem prosta i łatwa w obejściu, mimo odurzających pochlebstw, jakich jej nie szczędzono.

Życie swe w tym okresie dzieli między Paryż i Warszawę, gdzie kolejno odwiedza ukochanych rodziców. Latem podróżuje po świecie w towarzystwie służącej-Rosjanki oraz przyjaciółki serdecznej, Marji Trębickiej, w latach późniejczych żony Felicjana Faleńskiego. Najchętniej przebywa we Włoszech, w Neapolu lub Castellamare, ponad dziką przyrodę romantyczną przekładając klasyczne „Tybru spadające wody". Na „Hochsaison" zjeżdża corocznie do Baden-Baden, gdzie ją nazywają powszechnie „białą panią" lub „białą wróżką". Ten epitet, który na zawsze przylgnie do jej imienia, zawdzięcza niezrównanie białej karnacji swego ciała, podkreślanej jeszcze umiejętnym doborem toalet „Madonną śniegów", „białym sfinksem", „kobietą-łabędziem", „śnieżną dziewicą" nazywać ją będzie Gauthier w swej „Symphonie en blanc majeur", Heine z prawdziwie romantyczną przesadą powie w swym „Białym słoniu", że nawet „śnieżny szczyt Himalajów wydałby się popielaty w jej pobliżu", a Norwid zamknie swą niewygasłą nigdy miłość dla niej w wiersz o znamiennym tytule „Marmur biały".

Ten niecodzienny za życia poeta-tułacz staje się pierwszą ofiarą zdradliwego uroku, rozsiewanego przez piękną Madame Kalergis, „...x" lub „Panią Naszą", jak nazywa ją dyskretny Norwid w swych listach. Upokorzony jej przyjazną, siostrzaną życzliwością, gdy namiętniejszych oczekiwał uczuć, osądzi ją w wierszu swym surowo, stwierdzając, że ma i „ramiona z marmuru i serce". Nie traktujmy tego zarzutu poważniej, niż na to zasługuje. Po kilku latach powtórzy go coprawda Gauthier w swoim poemacie, marząc o tem, by „wzruszyć to serce, by ton różowy rzucić na tę niepokalaną białość", ale i on powie to zapewne pod wpływem własnych tylko niepowodzeń, rozgoryczony obojętnością, jaką darzyła go kapryśna bogini. „Miała, być może więcej imaginacji niż uczucia" — zaopinjuje w swych wspomnieniach Horace Rumbold, dyplomata angielski, ale i on jak się zdaje, do szczęśliwych wybrańców nie należał.

. W stosunku do wielu innych Marja Kalergis złożyła niejeden dowód uczucia, aczkolwiek istotnie w całem jej postępowaniu z mężczyznami widać więcej ambicji kolekcjonerki niż namiętnej miłośnicy. W otoczeniu jej niema wogóle kobiet i ani jednego bodaj mężczyzny, którego legitymacją nie byłaby sława, talent albo romantyczne przygody.

Jakkolwiekbądź, niejedną chwilę szczęścia zawdzięcza jej np. Musset, wytworny dandy i świetny poeta, będący zresztą sam ucieleśnioną przygodą: dodajmy, że zetknął się

z „białą wróżką“ bezpośrednio po swem zerwaniu z George Sand, a jak to wyróżnienie imponować musiało pani Kalergis, nie trzeba chyba dowodzić. W jej triumfalnym orszaku znajdują się również takie wielkości, jak Liszt, „wirtuoz w świecie jedyny“, Wagner Rossini, Thalberg, Taussig, znakomity malarz Delacroix, z pośród pisarzy — „Homer chrześcijański“ Chateaubriand, Balzac, korespondujący dopiero z panią Hańską, Villiers de l'Isle, Heine, Gauthier; ze świata politycznego hr. Molé, prezes rady ministrów za Ludwika Filipa ,nie mówiąc już o przedstawicielach kolonji polskiej w Paryżu z hr. Adamem Potockim i Józefem Szembekiem na czele. Zgryźliwy ,Heine, który sławił ją w poematach jako „świątynię Amora i katedrę miłości“, powie o niej po latach, gdy dowie się, że zwiedzała Panteon: „Pani Kalergis w Panteonie? Pocóż? Przecież ona sama była Panteonem, gdzie spoczywali sławni mężowie!“

Oczywiście, że jest to złośliwość dowcipnego poety: nie ulega wątpliwości, że z wieloma spośród wymienionych łączył panią Kalergis tylko stosunek platonicznej przyjaźni lub życzliwego poparcia, jakiego nie szczędziła ani Wagnerowi w zaraniu jego karjery, ani Antoniemu i Mikołajowi Rubinsteinom, ani Wieniawskiemu, ani w czasach późniejszych — Moniuszce. „Kolekcjonerką“ sław jest jednak wytrwałą i niema dość silnego charakteru, któryby się jej oparł, skoro zagięła na niego parol. Najwstrzemięźliwszy okazał się początkowo Chopin, który nie zdradzał najmniejszych chęci poznania sławnej piękności i odwiedzenia jej paryskich salonów przy rue d'Anjou. Ale pani Kalergis nie rezygnuje i tak długo szturmuje weń za pośrednictwem przyjaciół, aż wreszcie Chopin na prośby Liszta zgadza się udzielać jej lekcyj gry na fortepianie. Z tych lekcyj zachowają oboje najmilsze wspomnienia — ona, dumna przez całe życie ze swego mistrza, on — zdobywając się na stwierdzenie w jednym z listów, że „gra naprawdę bardzo dobrze“. Czyż mogła być wyższa pochwała, skoro wyrzekł ją Chopin?

Urokowi pani Kalergis nie oparli się nawet dwaj najwybitniejsi przedstawiciele politycznej Francji, pogromcy rewolucji lutowej, słowem: gen. Eugenjusz Cavaignac i ks. Ludwik Napoleon, późniejszy Napoleon III. Dyktator — odsunął się dość wcześnie, poprzysiągłszy matce, że nigdy nie zobaczy „zagranicznej awanturnicy“, która równocześnie darzyła łaskami jego politycznego przeciwnika. Bonaparte nie ustąpił tak szybko, mimo, iż wiedział, że był w jej miłosnym karnecie pierwszy, ale bynajmniej nie jedyny. Nie mógł i nie chciał zapewne pokonać w sobie uczucia dla kobiety, która już w zaraniu ich znajomości oczarowała go swoim dowcipem. Było to w czasie, gdy Napoleon piastował jeszcze godność prezydenta, a pani Kalergis odwiedziła go, interwenjując na rzecz jakiegoś więźnia politycznego, na którym jej szczególnie zależało. Zamiast odpowiedzi wskazał na lustro i zapytał, jaka jest różnica między niem a kobietą, a gdy oczywiście nie potrafiła tego wyjaśnić, rzekł, korzystając z dwuznaczności słowa „réflechir“ (odbijać i zastanawiać się): „Le miroir réfléchit toujours et la femme jamais“.

Ale pani Kalergis nie pozostała dłużna ani chwili i zapytała:

— A jaka jest różnica między lustrem a prezydentem?

— ? ? ?

„Le miroir est polit et le président ne l'est pas“ („poli“ znaczy gładki, a w przenośni: grzeczny).

Entuzjastką Napoleona III i jego polityki pozostanie pani Kalergis przez długie lata i odwróci się odeń wtedy dopero, gdy opuści go powodzenie. W sierpniu 1870 r. w przededniu Sedanu napisze w liście do córki. „wydaje mi się teraz największym w dziejach



Ks Ludwik Napoleon Bonaparte, należał jako prezydent republiki do licznych adoratorów „Białej wróżki“.

zbrodniarzem — z wyjątkiem stryja“ (Napoleona I). Jakgdyby zapomniała, że jeszcze o miesiąc wcześniej pisała do niej tem samem drobniutkiem, równem pismem: „Pokładam nadzieje w mądrości cesarza. On taki wielki i ludzki, on jeden może okiełznąć złe namiętności“. Ale taka już jest logika kobiecego serca.

Jej salony stają się po śmierci Madame Récamier w latach 1849—1853 nietylko artystycznym, ale i politycznym ośrodkiem Paryża, gdzie wykuwa się niejedna nowa idea i dojrzewa niejeden talent W tem środowisku pani Kalergis zadziwiająco nie traci perspektywy w stosunku do swych przyjaciół, którym głowy otacza korona lub glorja sławy. Zachowuje naogół trzeźwy, choć w guście epoki, egzaltowany niewątpliwie, sąd o ludziach, którzy ją otaczają i odznacza się dobrym smakiem estetycznym, za co zbiera dowody zasłużonego szacunku.

Miasto dożów najbardziej poza Paryżem oczarowało wielką globe-trotterkę.



Fryderyk Chopin był jednym z „asów“ kolekcji salonowej p. Kalergis.



W przerwach między temi sukcesami, zbieranemi na szerokim świecie, wpada od czasu do czasu do Warszawy, to dla odwiedzenia ojca, to znów dla załatwienia spraw majątkowych lub formalności rozwodowych. Po konkiecie paryskiej czuje się w wyludnionem, nieciekawem wówczas mieście potrosze tak, jak na zapadłej prowincji, to też nic dziwnego, że nie lubi Warszawy, że nazywa ją w swych listach „okropną i antypatyczną“. Wszystko, co tam się dzieje, jest mi wstrętne: ciemiężcy oburzają mnie, brzydzą“ — pisze do córki. Mimo to mówi już dobrze po polsku, w czem zapewne niemała zasługa Trębickiej. W stosunku do prześladowanych przez rząd rosyjski odnosi się z całą życzliwością, zasłaniając ich swojemi stosunkami nie z „obrzydzenia“ zapewne, mimo, że się niem afiszuje.. Pewnej nocy puka ktoś w parterowe okno jej pokoju w pałacu Potockich, gdzie mieszkała u ojca: jakaś działaczka narodowa prosi o ukrycie kompromitujących papierów, pewna, że w mieszkaniu szefa żandarmerji są najbezpieczniejsze. Nazajutrz rano — przykra niespodzianka. Ojciec otrzymał poufne doniesienie i prosi o dobrowolne wydanie przechowywanych przez córkę aktów. Marja odmawia, generał waha się chwilą, aż wreszcie żandarm zwycięża w nim ojca: zarządza rewizję, która jednak mimo odrywania tapet nie dała żadnego rezultatu. Nikomu nie przyszło przecież na myśl, że papiery mogły znajdować się w pudle od kapeluszy, które stało na stole i w które zaspana pani Kalergis wrzuciła je po nocy.

Kiedyindziej — wypadek zakończony dramatyczniejszym epilogiem. Niejaka pani Dąbrowska prosi Marję o paszport zagraniczny dla męża, któremu lada godzina grozi aresztowanie za udział w akcji niepodległościowej. Nie zastanawiając się długo, opiekuńcza „biała wróżka“ wydostaje z ojcowskiego biurka formularz i poleca „czynownikowi“ wypełnić go. Dąbrowski ucieka szczęśliwie poza granice Królestwa, lecz w Poznańskiem wpada w ręce Prusaków i zostaje osadzony w cytadeli. Zarządzone śledztwo wykrywa sprawczynię fałszerstwa i tylko protekcji ojca zawdzięczyć należy, że bezwzględny Paskiewicz poprzestał na nakazi natychmiastowego wyjazdu pięknej córki swego podwładnego.

W jednym z listów pisze: „Połowa mojego serca jest polska, a słuszność przemawia za tymi, którzy cierpią“. Jeżeli zatem nudzi się w Warszawie i przebywa chętniej w Paryżu, a potem w Niemczech, które polubiła, to przypisać to trzeba snobizmowi, jakiemu kapryśna bogini salonów ulegała bardzo silnie. Nie czuje się właściwie nigdzie jak w domu: jakaś niewysłowiona nostalgja, jakiś nieopanowany niepokój wewnętrzny gna ją po całym świecie. Jak ptak wędrowny pada do „okropnego“ Petersburga, by po paru tygodniach (w ówczesnych warunkach komunikacyjnych!) wyjechać do Ischlu, do Weimaru albo do Medjolanu. Króluje wszędzie, gdziekolwiek przyjeżdża.

Dokończenie na str. 6-ej.

Dokończenie ze s r. 5-ej.

otoczona wielbicielami, którzy trwonią olbrzymie fortuny, by dogodzić wszystkim jej zachciankom, by dostarczyć jej zimą najwspanialszych orchidei lub uradować na najmniejszej stacyjce dyliżansowej widokiem najlepszego fortepianu, przytransportowanego z niemałym nakładem kosztów. Poeci dedykują jej wiersze, muzycy piszą na jej cześć utwory, malarze błagają o pozowanie, ludzie utytułowani o znajomość, a szarzy prostaczkowie o prawo cichej, dalekiej adoracji. Mimo, że te hołdy pochlebiają jej, mimo, że uszczęśliwia tak wielu, sama nie czuje się nigdy szczęśliwa. Odczuwa wieczne nieukontentowanie ze swego życia i ze swych postępków. Współczesna psychoanaliza nazwałaby to poczuciem niższości — wówczas jednak nie znano tego pojęcia i dlatego przypisywano jej „nerwy", które leczyła we wszystkich chyba stacjach klimatycznych południowej i środkowej Europy.

Tymczasem uroda jej więdnie już potrosze z każdym rokiem, tracąc swój oślepiający blask. Wraz z nim przygasa coraz bardziej pragnienie używania życia i błyszczenia na szerokim świecie. Liczy zaledwie lat 35, gdy wydaje córkę zamąż za austrjackiego dyplomatę Franciszka hr. Coudenhove, w parę lat potem jest już babką — najwyższy czas, by ustatkować swój tryb życia, skoro nawet niebezpieczną granicę, ustanowioną wspaniałomyślnie przez pana Balzaca, ma już za sobą. Osiada więc na stałe w Warszawie, zajmując się odtąd gorliwiej działalnością społeczną i muzyką, która już dawno była „poezją jej życia". W r. 1858 występuje na koncercie ku czci Chopina, improwizatorsko akompanjując Deotymie do wygłaszanej przez nią improwizacji wierszowanej na temat śmierci wielkiego mistrza melodji. W tymże czasie urządza koncert na benefis Moniuszki, który po niedawnej premjerze „Halki" stawiał dopiero pierwsze kroki na drodze kompozytorskiej. Równocześnie czyni gorliwe wysiłki, zmierzające w kierunku założenia w Warszawie konserwatorjum. Pomału oswaja się z tem „okropnem" miastem, a choć nie przestaje go nazywać „swoim grobem", rada jest z całej duszy, że ma tu szeroki teren działalności. Politycznie sprzyja „białym", popierając ugodowe wysiłki „naszego margrabi", Wielopolskiego. Gdy w przededniu nowej pożogi powstaniowej w r. 1861 bawi w Warszawie car Aleksander II, jest jedną z niewielu pań, które były obecne na przyjęciu, w katedrze, na rewji i na galowem przedstawieniu.

Mimo to, gdy w cztery lata później powstanie dogorywa, pani Kalergis, a właściwie od paru miesięcy już Sergjuszowa Muchanow, zapada na długotrwałą melancholję, z której powraca do zdrowia dopiero po paromiesięcznym pobycie w niemieckiem sanatorjum. „Dopóki tragedja polska się nie skończy, mogę być szczęśliwa, ale przenigdy wesoła" — oświadcza z właściwą sobie szczerością i brakiem patosu.

Muchanow, były oberpolicmajster, a teraz szambelan Jego Ces. Mości i prezes dyrekcji teatrów warszawskich, cieszy się najwyższym szacunkiem społeczeństwa polskiego za swoją prawość i za szczere wysiłki, zmierzające do zbliżenia się ku Polakom. Muchanow, przy niemałej pomocy swej żony, podnosi poziom i dochodowość teatrów warszawskich, tacza serdeczną opieką artystów, a starając się mówić poprawnie po polsku, zdobywa ich sympatję i zaufanie.

Nowe małżeństwo pani Kalergis trwa zaledwie dziesięć lat. 2 maja 1874 r. umiera po długotrwałej chorobie, znękana spustoszeniem, jakie poczynił w jej organiźmie złośliwy rak podbrzusza. Na parę jeszcze godzin przed śmiercią słucha z rozrzewnieniem ulubionych melodyj Chopina, które gra jej, wzruszony do łez, świetny pianista niemiecki, von Bülow.

Tadeusz Heller.

CIEKAWE DROBIAZGI.

NOWOŚCI DLA DZIECI.



Ostatnio odbyła się w Chicago ciekawa wystawa meblarstwa, na której pokazano również postępy, jakie poczyniła fabrykacja wózków dziecięcych w ostatnich 50 latach. Jak widzimy na zdjęciu wózki, któremi wożono dzieci w połowie XIX wieku trącą „myszką" i są dla ludzi dzisiejszych śmiesznym zabytkiem, podczas gdy nowoczesne „ekwipaże" najmłodszego pokolenia bezwątpienia przypominają... „linje opływowe"! Tak więc od małego już przyzwyczaja się współczesnego człowieka do nowych form życiowych!

W STRUSIEJ FARMIE.



Największa bodaj farma, hodująca strusie celem uzyskania tak pożądanych w modzie strusich piór, znajduje się w okolicy Los Angeles w Kalifornji, gdzie hodowla oparta jest na zasadach naukowych. „Urzędujący" tam weterynarz bada co pewien czas stan zdrowia strusi, a to celem stwierdzenia, czy można się po nich spodziewać pociechy, gdyż, jak ustalono naukowo, tylko pióra zdrowego strusia są coś warte. Na zdjęciu widzimy badanie ciśnienia krwi u 40-letniego strusia.

5-LETNIA AKTORKA I GIRLSA.



Olbrzymie zainteresowanie nietylko wśród sfer artystycznych, ale i u szerokiej publiczności wzbudziły w Londynie występy 5-letniej Myrtle Green, najmłodszej obok Shirley Temple, artystki świata. „Panna" Green nietylko recytuje z wielką wyrazistością całe sceny z dramatów Szekspira, wychodząc zawsze zwycięsko z wszelkich zawodów deklamatorskich, ale również umie pięknie śpiewać przy wtórze mandoliny, robiąc pocieszne minki. Podobny talent posiada również jej 7-letnia siostrzyczka Jacqueline. Matka ich, Lucie Morel, występowała również na scenie, podczas gdy ojciec był znanym tancerzem w zespole Pawłowej.

ORYGINALNY PRZESĄD JAPOŃSKI.



Poza wieloma nadwyraz realnemi i praktycznemi cechami charakteru japońskiego znajdziemy inne, które zadziwić mogą swą naiwnością i archaicznością. Oto na Nowy Rok każdy Japończyk kupuje rodzaj powrozu, zwanego „szime" — t. j. święty sznur, który zgodnie z wierzeniem Japończyków, chroni ich od wszelkiego nieszczęścia i przysparza różnych sukcesów życiowych. Wielki przemysł japoński wykorzystał przesąd Japończyków i począł owe „szime" fabrykować maszynowo, przez co jednak nie straciły one bynajmniej na wartości w oczach kupujących. Oto skład tych sznurów, przypominające kukurydzę.

LATAJĄCE KSIĘGARNIE

Czytelnicy „Asa" znają niewątpliwie łacińską sentencję „Habent sua fata libelli", co w aktualnem tłumaczeniu znaczy, że z książkami jest dziś fatalnie... A już z całą pewnością nie jest im obce rymowane marzenie Mickiewicza o tem, by dzieła jego „kiedyś zbłądziły pod strzechy". Niechże więc posłuchają o tem, jak to książki w pogoni za konsumentm błądzą i wędrują po restauracjach czy kawiarniach i jak ten pokarm duchowy usiłuje rozpaczliwie konkurować z pokarmem przeznaczonym dla ciała.

Zapewne niejednemu z was przerwał kontemplację nad niedokrewnym befsztykiem lub „czarną" wymowny „kulturträger", dosłowny „nosiciel kultury", podsuwający wam pod nos walizkę lub teczkę, wypełnioną literaturą nietyle piękną ile tanią. Być może, że rzuciliście natrętowi odpychające spojrzenie lub obejrzeliście bez zainteresowania tytuły, przecinając propozycję sprzedaży niechętnem potrząśnięciem głowy. Prawdopodobnie tak było najczęściej. Dla kogóż bowiem taka „latająca księgarnia" nie jest wrogiem w chwili, gdy w głodnym żołądku przygotowuje się misterjum trawienia?

Czasem jednak, aby mogły mieć „sua fata libelli", aby książeczki spełniły swoje przeznaczenie, rozmawiałem ze sprzedawcami i przeglądałem wybór cennych dzieł, poszukujących czytelnika. Mogę każdego zapewnić, że warto niekiedy wysłuchać przemowy tych „pionierów" kultury, by zapoznać się ze sposobami nowoczesnej reklamy i opinją krytyczną szarego człowieka o tej lub owej książce. Warto także posłuchać rozmowy takiego latającego „bukinisty" z innymi gośćmi kawiarni czy restauracji. Z bliźnich naszych bowiem możemy nieraz uśmiać się niezgorzej i za to przedewszystkiem należy ich miłować.

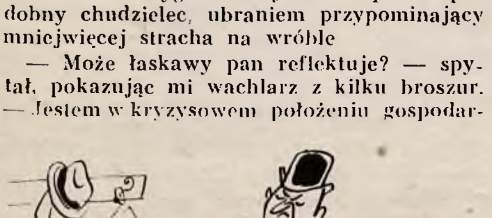
Kawiarniani sprzedawcy książek bywają różni. Od spryciarzy do pokornych jałmużników. Od natrętów do nieśmiałych, wiecznie początkujących ofertantów.

Najczęściej spotyka się biedaków, którzy pożądliwie spoglądają na jadło i napitek i proszą: „Niech pan coś kupi, niech pan da zarobić. Jeszczem dziś nic nie utargował..." Ci są w stylu epoki Przez swoją powszechność i powszedniość nie odcinają się niczem od ogólnego tła, nie interesują prawie nikogo i napewno niewiele sprzedają. Są nędzą, która chce żyć z nędzy książki, a czasem z nędznych książek. Raz tylko spotkałem wśród nich oryginała. Był to nieprawdopodobny chudzielec, ubraniem przypominający mniejwięcej stracha na wróble

— Może łaskawy pan reflektuje? — spytał, pokazując mi wachlarz z kilku broszur. — Jestem w kryzysowem położeniu gospodarczo-ekonomicznem, ofiarą ogólno-światowej deprecjacji ustrojowej...



Zostałem skazany na trzy tygodnie za nałogowe wieszanie się...



...„Kanciarzy" najlepiej znajdzie pan w Warszawie...

Zrozumiałem, że mam do czynienia z podupadłą „elitą kulturalną". Przemawiał bowiem stylem „Trzech mgieł".

— Niech pan coś kupi — przeszedł na ton proszący. — Jestem bez posady. Pozatem niedawno wyszedłem z więzienia.

— Z więzienia?

— Tak. Zostałem skazany na trzy tygodni za nałogowe wieszanie się dla celów zarobkowych.

— Za co?

— Za wieszanie się. Wieszałem się szereg razy w poczekalniach urzędów i biur, w których odrzucano moje prośby o posadę. Oczywiście odcinano mię zawsze w porę i dawano trochę grosza, ale i takie powodzenie niedługo trwało. Przed paru tygodniami powiesiłem się w „sprawie posady" w urzędzie skarbowym na prowincji. Odcięto mię i zaprowadzono do kozy, bo rozeszła się pogłoska, że to wieszał się sam naczelnik z powodu defraudacji...

Kupiłem od tego zawodowego wisielca książkę pt. „Jak znaleźć szczęście i zadowolenie w życiu". Szczęścia ani zadowolenia nie znalazłem do tej pory, natomiast książkę zgubiłem w tym samym dniu.

Obok biedaków proszących o kupno jak o wsparcie, spotyka się szczwane lisy. Pewnego razu pohylił się nad mojem uchem młodzieniec chytry, jak wąż, który Ewę namówił na wiadowe hultajstwo.

— Mam coś dla pana — szeptał konspiracyjnie — pierwszorzędna książka. Skonfiskowana i na indeksie...

Chyłkiem wydobył z walizy cenny unikat. Spojrzałem na tytuł: „Eros na podwórzu" Jana Wiktora. Parsknąłem śmiechem.

— Czego się pan śmieje? To erotyczno-seksualna sensacja. Tylko dla dorosłych... Dzieło tłumaczone z francuskiego

Innym razem rezolutny i wygadany właściciel melonika roztoczył przedemną, jak ogon pawi, tęczę tytułów. Były w jego walizce: „Błękitne oczy", „Szafirowy pająk", „Zielony lont", „Czerwona planeta", „Żółta i zielona nić", „Biały kaczor", „W złotej sieci" itd. Sprzedawca nie ustępował. Wyłożył teraz na pierwszy plan bezbarwną beletrystykę.

— Oto „Tadeusz" Kadena Bandrowskiego. To jest „Pan Tadeusz" Mikiewicza, tylko w przeróbce prozą, bo publika niebardzo wiersze lubi... Tu pan ma dobrą książkę „Pierwsza krew" Krzywickiej, patrjotyczna powieść o bitwie pod Kraśnikiem. Niepodoba się panu? To może ta następna „Półmężczyzna" Michała Rusinka. Bardzo ciekawa rzecz o jednym takim, co był niecałkiem mężczyzną... A może pan weźmie jakąś naukową książkę? Mam tu dzieło lekarskie „Grypa szaleje w Naprawie" — o grypie i tych bakcylach, co są wymalowane na okładce.....

— Ależ panie, to powieść.

— Nie szkodzi — to jedna cena. Nie kupi pan?

Odszedł, obnosząc dalej swój kramik i imponując maluczkim literacką erudycją.

Zabawni bywają nietylko właściciele przenośnych księgarń, ale czasem także i przygodna żądza wiedzy i oświaty klientela. Oto siedzi sobie przy stoliku jegomość o natchnionem spojrzeniu. Przeczesując palcami rozwichrzoną bródkę, spojrzał z uwagą na prezentowane mu przez sprzedawcę książki i zapytał:

— Może ma pan coś z filozofji albo metafizyki?

— A coby pan chiał kupić?

— Potrzebowałbym np. „Tajemną wiedzę yogów". Albo może pan ma „Teorję poznania"?

— Nie, o Poznaniu nie mam nic, ale zato „Zabytki Krakowa".

— Ależ młody człowieku, mnie chodzi o „Teorję poznania", o dzieło filozoficzne... Schopenhauer, Hegel, Kant... Czy słyszał pan to słowo Kant?

Sprzedawca oburzył się:

— Proszę pana, jestem uczciwym pracownikiem umysłowym, z żadnemi kantami nie mam nic wspólnego! Kanciarzy najłatwiej pan znajdzie w Warszawie!

Inne znowu wymagania kulturalne miała pewna starsza paniusia, do której zwrócił się podobny do owego znawcy literatury w meloniku, ale bezczelniejszy i dowcipniejszy handlarz martwego towaru, jakim jest dzisiaj książka.

— Może szanowna pani przeczyta sobie „Hrabia Emil" Nałkowskiej, świetny salonowo-kryminalny romans. W kinie był grany, publika płakała żywemi łzami..

— E, gdziebym tam romanse czytała. Już jestem na to za stara.

— Hoho, pani dobrodziejka jeszcze jak panienka trzydziestoletnia... A może coś dla dzieci? Mam tu dobrą książeczkę „Luksusowe zwierzątka" Pitigrillego. Opowiadania o zwierzętach — dla dzieci i młodzieży, takie książki najlepsze...

— Ja nie mam dzieci.

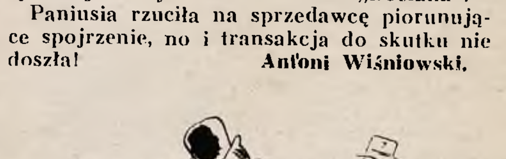
— Ale jeszcze pani dobrodziejka może mieć... Z tem to nigdy nic niewiadomo.

— Wzięłabym jaki kalendarz. Ma pan kalendarze?

— Owszem. Mogę pani dobrodziejce służyć najnowszym kalendarzem „Bociana".

Paniusia rzuciła na sprzedawcę piorunujące spojrzenie, no i transakcja do skutku nie doszła!

Antoni Wiśniowski.



Ho, ho, pani dobrodziejka jeszcze jak panienka trzydziestoletnia...

CUDA ★ PRZYRODY

POD MIKROSKOPEM BADACZA



Otaczający świat stanowi dla mieszkańca globu ziemskiego siedlisko niezliczonych zagadek i tajemnic, źródło ustawicznych dociekań i badań. Od chwili wykrzesania pierwszego ognia z krzemienia człowiek obserwował bacznie otaczającą go przyrodę, odkrywając coraz to nowe i wczoraj nieznane jeszcze minerały, rośliny czy zwierzęta. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że znajomość przyrody pozwoli mu z niej korzystać i podnosić się na coraz to wyższy stopień rozwoju.

Już na tysiąc lat przed naszą erą zainteresowania człowieka nie ograniczały się do bliskich mu zagadnień, lecz sięgały coraz dalej; wiele gwiaździstych nocy spędzili na żmudnych obserwacjach astronomowie egipscy i chaldejscy; ich towarzysze greccy zdawali się wyczuwać, że wielkie tajemnice kryją się nietylko w dalekich głębiach nieba, lecz i w świecie istot najdrobniejszych. Przez dłuższe czas jednak nie umiano zabrać się do odkrywania tych małych, a jednocześnie jakże wielkich światów. Stało się to możliwe dopiero wtedy, gdy człowiek nauczył się widzieć więcej — patrzeć dalej i głębiej.

Z odkryciem soczewek do okularów i teleskopów i zbudowaniem pierwszego mikroskopu otworzyły się przed badaczem przyrody nowe nieznane światy, niemniej ciekawe od tego dużego; odkrycie to stworzyło liczne gałęzie nauki, które przez dziesiątki lat miały zatrudniać setki i tysiące adeptów Wiedzy i Nauki.

Dla każdego z nas spojrzenie w głąb mikroskopu przynosi wiele niespodzianek. Niewątpliwie najciekawiej przedstawia się świat roślin i zwierząt. Jakżeż skomplikowaną a zarazem celową jest budowa każdej części rośliny, jak wielkie bogactwo szczegółów ujawnia się przy obserwacji jakiegoś owada!

Obserwując przy pomocy mikroskopu, doznajemy nieraz ciekawych złudzeń. Patrząc na zamieszczone obok fotografje niejedna z pań z pewnością w pierwszej chwili pomyślała, że chodzi o jakiś nowy deseń modnego materjału. Nic podobnego! To tylko mikrofotografje przekroju jednej z pospolitych roślin lekarskich, fragmentu skrzydła motyla i brzegu skrzydła muchy. Każda z pań musi zgodzić się ze mną, że pięknym jest deseń, ułożony z tkanek skromnej rośliny. A jakżeż doskonale nadawałaby się ta wzorzysta, barwna szata motyla, przypominająca żywo wełniany materjał — na sweater zimowy! Czy moglibyśmy się spodziewać, że zwyczajna szara mucha posiada taki wspaniały „jedwabisty“ strój? Gdy pomyślimy, że te „szaty“ owadzie wytrzymują nietylko żar gorących promieni słońca i silne podmuchy wiatrów, lecz często są wystawiane i na działanie deszczów, odczuwamy prawdziwy podziw na widok tych wspaniałych dzieł Natury, których doskonałość człowiek stara się napróżno nieraz naśladować.

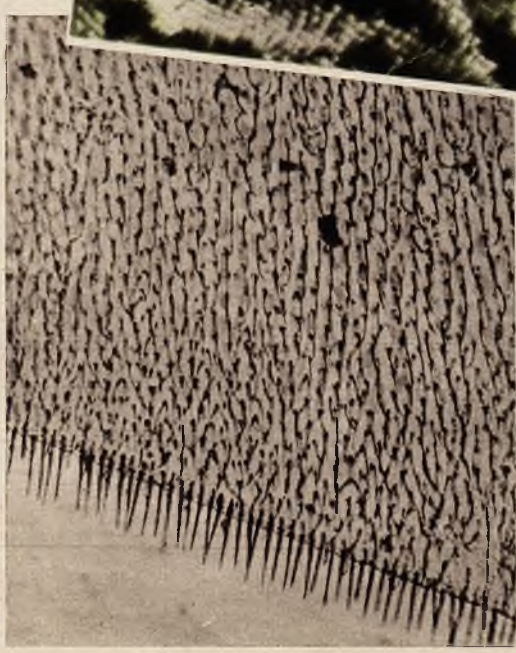
dr M.

Na prawo: Cóż to za piękna tkanina? — to fragment skrzydła motyla, powiększony przez szkło mikroskopu



Poniżej: Oto, jak nam się przedstawia pod szklem mikroskopu przekrój łodygi roślinnej.





Na lewo: Brzeg skrzydełka muchy.

Symfonja PRZEZNACZENIA

TADEUSZ BILIŃSKI
NOWELA ★ ILUSTR. CHARLIE

Szaruga listopadowego wieczoru.

Smigane biczem wichru i dżdżu latarnie migotają chorobliwie żółtemi płomykami gazu.

Od ziemi bije mdły zapach rozkładającego się martwego listowia.

Skulony, z rękami wsuniętemi w głąb kieszeń i ze skrzypcami pod pachą, zdążałem, człapiąc w lepkiem, rozpryskującem się błocie, do „Lutni", gdzie miała odbyć się ostatnia, generalna próba koncertu symfonicznego. Kiedy wszedłem do mrocznej, niedostatecznie oświetlonej sali byli już wszyscy z koncertowego zespołu.

Zająwszy zwykłe swe miejsce w orkiestrze, spostrzegłem dopiero, że niema jeszcze głównego solisty — skrzypka, znanego muzyka Zadory, który miał odegrać solo w „Symfonji przeznaczenia" (C-mol) Beethovena. Dyrygent, zły, przechadzał się nerwowo po sali, przeklinając półgłosem. Raz po raz rzucał groźne spojrzenia w stronę drzwi, jako iż był — o czem wiedzieliśmy wszyscy dobrze — nieprzejednanym wrogiem niepunktualności... Tymczasem członkowie orkiestry stroili swoje instrumenty

— — — — — — — — — — —

I rozbrzmiewała ta pozornie bezplanowa dyssonantyczna „symfonja" strojonych instrumentów, która — zdawałoby się — jest bezładną mieszaniną dźwięków, dla mnie jednak nigdy nią nie była. Uważałem ją zawsze raczej za twórczy chaos, z którego porodzić się miała tańcząca gwiazda, za szereg luźnie powiązanych motywów, indywidualnych refleksów myślowych i uczuciowych, nieujętych i ineskoordynowanych w ścisłe karby harmonji i kontrapunktu, a które — mimoto — były pełne odrębnej ekspresji i muzycznej treści. Tylko je powiązać — marzyłem takenieraz — zlać w jedno harmonijne, logiczne łożysko te wszystkie urywki koncepcyj muzycznych, te najczęściej pozaświadome twórcze zawiązki nowych harmonij i melodyj — a powstałaby symfonja, którąby nie była dziełem jednostki twórczej, ale całego zbiorowiska ludzi.

Naraz dyrygent przerwał nerwową przechadzkę i zakląwszy raz jeszcze, ale już głośno, podszedł do estrady, widocznie zdecydowany bez Zadory rozpocząć próbę Już uderzył w pulpit, wzniósł pałeczkę w górę, gdy nagle rozwarły się szeroko drzwi i do sali wszedł ktoś obcy, który z wyglądu przypominał łudząco Zadorę. Wysoki nadmiernie chudy, ze zmierzwioną czarną czupryną zbliżył się szybko do estrady i ogarnął nas w głąb duszy wnikającem spojrzeniem czarnych, gorejących oczu.

Pod pachą trzymał pudełko ze skrzypcami, które położył na krześle Zadory i zwracając się do dyrygenta, oświadczył sucho a stanowczo.

— Pan Zadora chory; nie może przyjść na próbę, wobec tego ja go zastąpię

— Ale kto pan jesteś Trudno mi przecież zgodzić się na to, nie znając pana, jako muzyka.

— Nazwisko obojętne. Powinno panu wystarczyć, że grać chcę w zastępstwie Zadory... Zresztą przekona się pan niebawem.

Znając naszego dyrygenta, byliśmy wszyscy przekonani, że nie zgodzi się na taką ekscentryczną propozycję; jakież więc było nasze zdumienie, kiedy po chwili namysłu rzekł krótko:

— A zatem dobrze. Zgadzam się... Zaczynajmy.

Nieznajomy wydobył szybko z pudła skrzypce i usiadłszy pośród nas, czekał w milczeniu na znak dyrygenta.

Już pierwsze tony, wydobyte z jego skrzypiec, zaświadczyły o mistrzowskiej wprost technice i zupełnem opanowaniu instrumentu. A kiedy nastąpiło solo, zachwyt nasz spotęgował się bezgranicznie i lubo ambicje zawodowe nie pozwalają zwykle przyznać w pełnej mierze tego, co się komu należy, mimo to czuliśmy wszyscy zgodnie, że mistrz nielada współdziała z nami

Poprostu wierzyć nie mogliśmy, że taką pełnię i różnorodność tonów wydobyć można z tak skromnego instrumentu. W jego rękach przemieniał się on w wielostrunną, cudnie brzmiącą arfę, której ton to rósł i potężniał w niesłychany dotąd sposób — w „fortach" — rozbrzmiewając rogłośnie w pustych ścianach sali koncertowej — to znów słabł i cichł, niby lekki poszum skrzydeł motylich, trącających o struny w subtelnych „pianissimach i flageolettach".

Żaden ze znanych i słyszanych przezemnie skrzypków-wirtuozów nie mógł się z nim równać, nikt bowiem tej techniki i tej głębi i rozlewności tonu nie posiadł nawet w przybliżeniu.

Sam dyrygent — zawsze zimny, niezadowolony i mający stale słowa cierpkiej nagany na ustach — nie ukrywał podziwu i zadowolenia.

Ze zdumieniem i uznaniem spoglądał raz wraz na skrzypka, który nie troszcząc się zupełnie o niego, wyczarowywał głębię tonów, rzucając jeno przelotne, a wnikliwe spojrzenia na nas, którzy trwaliśmy pod czarem jego gry, nawet wtenczas, kiedy solo się już skończyło, a my w dalszym ciągu wróciliśmy do symfonji.

Naraz nieznajomy przestał grać i wzniósł smyczek w górę na znak, abyśmy zaprzestali gry

Nie zważając na rozpaczliwe znaki i osłupiały wyraz twarzy „starego", odezwał się do nas:

„Moi panowie. Symfonji tej grać już nie będziemy, natomiast zagramy inną, do której... wprawdzie nut nie mam, bo... wogóle nikt jej nie napisał — ale rzecz w tem cała, abyście skupili się w sobie, odrzucili na chwilę z myśli wszystko, co to skupienie mogłoby rozprószyć i... patrzyli jeno na mnie, wciąż bezustannie na mnie, w me oczy, a... reszta sama już przyjdzie".

Chwila wahania i niedowierzania. Spojrzeliśmy po sobie, ne wiedząc, co mamy o tem sądzić i jak rozumieć słowa nieznajomego — aż nagle, ogarnięci jedną myślą, jak gdyby pod znakiem czyjejś przepotężnej woli, skierowaliśmy wzrok na nieznajomego, który stał pośród nas ze smyczkiem wzniesionym wciąż w górę i patrzył...

Patrzył, obejmując nas wszechogarniającem, magnetycznem spojrzeniem czarnych, przepastnych oczu, które jaśniały dziwnym, fosforycznym rozblaskiem. Po chwili znikła nam z myśli niezwykłość propozycji i nie zwracaliśmy uwagi na naszego „starego", który z rozpaczy i wściekłości bezsilny opadł na krzesło. Wszelkie logiczne wątpliwości ustąpiły, a czuliśmy tylko, że pod nakazem twórczych, fascynujących oczu nieznajomego grać będziemy, bo grać musimy.

I nagle rozwarły się wierzeje, zamykające szczelnie komnaty duszy i wypływać poczęły niewyuczone i nieznane nam, a przecież podświadomie tkwiące w nas melodje i kombinacje harmoniczne, jakgdyby przemożna wola nieznajomego wydobyła je z kryjówek i dalekich ostępów duszy.

Ogarnęła nas radość twórcza. radość nie mająca równej sobie.

Każdy z nas z osobna i wszyscy razem tworzyliśmy jednię twórczą. natchnioną z zewnątrz; czuliśmy, iż idzie ku nam z czarnych, magnetycznych oczu nieznajomego świetlana, widzialna moc. jakiś nakaz skoncentrowany woli, której nas muzykantów z „profesji", a więc odtwórców w twórczych artystów przeobrażał.

Wpatrzeni wciąż w nieznajomego, który odłożył skrzypce, zatrzymawszy tylko do dyrygowania smyczek, poczęliśmy snuć symfonję, do której nut nigdy nie było i... nie będzie.

Rozbieżne początkowo tony poszczególnych instrumentów spływały się na znak dyrygenta — niby gromada chybkich wód. spływających ze szczytów gór, aby zjednoczyć się we wspólnem jeziorze melodji.

Puzony i waltornie, wspierając się nawzajem, uderzyły w potężny, triumfalny ton, w ślad za nimi flety i klarnety, aż w końcu skrzypce, podchwyciwszy temat, rozprowadziły melodję tak różną i inną od znanych lub zasłyszanych kiedykolwiek.

I naraz zdało się nam na chwilę, że jesteśmy tylko zjednoczonym instrumentem.



...Pan Zadora chory; nie może przyjść na próbę...

z którego wola twórcza nieznajomego dobywa czego zapragnie, że grać możemy tylko tak, jak on nam każe, że zatem jesteśmy tylko wykonawcami jego twórczej koncepcji, która drogą promieni wzroku dochodzi do naszej świadomości.

Ale tak w rzeczywistości nie było. Każdy z nas, sądząc po sobie — szukał najodpowiedniejszej, najbardziej osobistej formy wypowiedzenia się, dając pełny wyraz najtajniejszym drgnieniom uczuć i przeżyć dzieciństwa, czy najwcześniejszej młodości, które kojarzyły się gdzieś podświadomie z roztęczą barw i woni, z echem zasłyszanych ongiś przelotnie drogich, kochanych słów i zbłąkłych już wspomnień, a on tylko je wiązał ze sobą, sprowadzał te indywidualne muzyczne emanacje treści duszy naszych w jedno polifoniczne łożysko, nadając mu jednolitą formę frazy muzycznej.

Grając, widzieliśmy wciąż przed sobą dwie czarne, wirujące ogniste kule, które wysyłały ku nam pęki fosforyzujących promieni. Przez chwilę wydało się nam nawet, że widzimy tony, jak zmierzają do mistrza, a on je bierze w ręce, żongluje niemi, raz to jeden to drugi podrzucając w górę.

W miarę, jak symfonja rozwijała się, przestaliśmy myśleć obrazowo, a poczęliśmy myśleć tonami, które kojarzyły się w harmonję; już ton nie był jeno interpretacją myśli, lecz stawał się myślą samą.

Snując wolną w rytmie i tempie melodję tak pieściwą i wielodźwięczną, jak żadna inna, szliśmy w tem za batutą nieznajomego, który okazał się również i jako dyrygent, mistrzem niezrównanym, wydobywającym najsubtelniejsze odcienie dynamiczne i rytmiczne z orkiestry, przenikniętej jego przemożną wolą kierowniczą.

W pewnej chwili nieznajomy przyspieszył tempa — w lot zastosowaliśmy się do wskazówek jego batuty — i melodja płynąca dotąd zwolna i rozlewnie, poczęła nabrzmiewać coraz większą pełnią tonów, przechodząc w coraz szybsze tempo, które stało się zawrotne, aż w końcu jakiś szał szybkości ogarnął nas wszystkich.

Huragan dźwięków rozpętał się nad naszemi głowami i przez chwilę zdawało się, że jasna dotąd i wyraźna linja kompozycji zatraciła się i zmąciła, gubiąc się w istnej orgji rozbieżnych fraz, brutalnych dysonansów i atonalnych kakofonij.

Tony, jakgdyby wyzwolone wbrew naszej woli ze wszystkich instrumentów, rwały niewstrzymanie, niło skłębione zwały wód, które przerwały tamę i toczą się w bezdenną przepaść, niło nieprzebrany tłum, który zerwał pęta i zgiełkliwą, groźną ławą sunie przed siebie i nic mu na przeszkodzie stanąć nie zdoła, aby sięgnąć po należną sobie władzę.

— — — — — — — — — —

Nie wiem, jak długo trwało to rozpętanie buntujących się tonów, gdy nagle, jakby urzeczone, umilkły wszystkie instrumenty i nastąpiła krótka pauza, ale już za chwilę rozbrzmiała nanowo pieśń triumfalna, pieśń wyzwolenia w przecudnej harmonizacji, a w zgodny rytm z tą podniosłą melodją uderzyły serca nasze i ogarnęło nas ekstatyczne upojenie, które unosiło nasze dusze na szczyty natchnień, dostępne tylko największym twórcom.

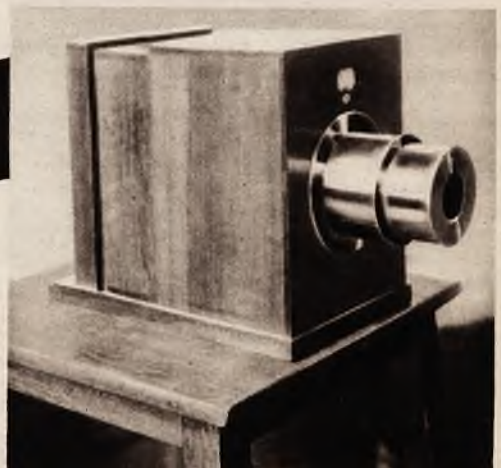
Nagle... schylony dotąd nad skrzypcami, podniosłem oczy ku pulpitowi dyrygenta i.. ujrzałem naszego starego, który właśnie wznosił pałeczkę do góry, dając znak do rozpoczęcia...

Zadory, ani sobowtóra jego nie było...

W tej chwili drzwi rozwarły się z trzaskiem i do sali wpadł zadyszany woźny:

— Pan Zadora nie przyjdzie... zastrzelił się przed chwilą.

ŚWIAT CODZIEŃ SIĘ FOTOGRAFUJE



Pierwszy aparat fotograficzny, który został zbudowany przed przeszło 100 laty.

Niedawno doniosły dzienniki, że jakiś dziwak postanowił... sfotografować cały świat! Przeznaczył więc olbrzymi swój majątek na uruchomienie armji fotoreporterów, którzy rozbiegną się po całej kuli ziemskiej i będą robili zdjęcia wszystkich ludzi. Ów dziwak nie robi nic nowego! Od wynalezienia fotografji ludzie znaleźli sobie nową rozrywkę — fotografowanie siebie i swoich znajomych, ewentualnie nieznajomych. Fotografowanie stało się pasją, namiętnością rozrywką. Historja fotografji choć niewiele sobie lat liczy, przecież może się pochwalić wielkiemi postępami. Czasy dzisiejsze przeglądają się w fotografji jak w czystem żwierciadle. Każdy wypadek znajduje swoje odbicie w zdjęciu filmowem lub fotograficznem. Gdy malarstwo coraz bardziej gubi się w zniekształcaniu rzeczywistości, fotografja wprost przeciwnie, stara się tą rzeczywistość jak najbardziej wiernie oddać. Nawet najfantastyczniejsze wyczyny ludzkie znajdują odbicie w fotografji. Budowa olbrzymiego mostu, opuszczenie się na dno morza, nawet walki na froncie są filmowane. Ludzie chcą widzieć wszystko, są coraz bardziej ciekawi. Chcą być wszędzie, nie wyjeżdżając ze swego miasta. Już dziś nie wystarcza opis słowem, trzeba go poprzeć widokiem. Opis może skrzywić rzeczywistość, bo jest subjektywny, fotografja pokaże prawdę, bo pozwala każdemu obserwować i wyciągać własne wnioski. Panuje przekonanie, że film przyzwyczaja do bezmyślności. Nic bardziej niesłusznego. Film zmusza do pilnej obserwacji i natychmiastowego wyciągania wniosków. Książkę można powtarzać, fotografja filmowa przebiega na ekranie i nie wraca. Człowiek patrzy na zjawiska pokazywane na płótnie i reaguje błyskawicznie. Film uczy bystrości w wypatrywaniu szczegółów.

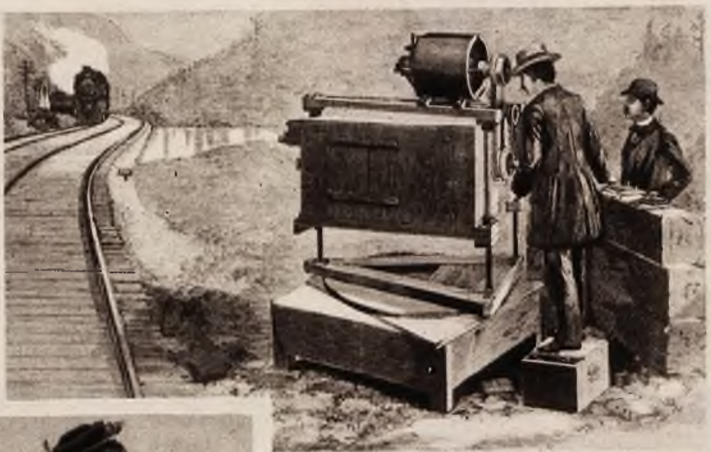
Pierwotny człowiek widział swoje odbicie w wodzie niedokładnie i nigdy

nie mógł nasycić tej ciekawości poznania własnego oblicza i własnej osoby w całej okazałości. Mógł siebie widzieć jedynie częściowo. Oczy jego pozwalały mu dojrzeć jego górne i dolne kończyny, koniec nosa. Najciekawsza głowa i tajemnicze oczy patrzała na człowieka tylko z głębiny wodnej, ale było to niedokładne. Przyszedł wynalazek lustra i zaspokojenie tego pragnienia. Ale lustro oddawało część postaci i małpowało ruchy. Człowiek nie miał swego statycznego odbicia. Dopiero fotografja i film rozwiązały tę sprawę. Gdyż człowiek dopiero teraz może siebie zobaczyć, przyjrzeć się swoim własnym czynnościom popatrzeć na siebie krytycznie. Mąż stanu, obradujący w parlamencie, sportowiec na boisku lub ringu, nawet szary człowiek z ulicy może siebie ujrzeć na e k r a n i e, względnie tańszym sposobem na małej pocztówce. Nawet taka odbitka jednego ruchu, jednego momentu pozwala siebie obserwować. Gdy nas „l e j k a r z" n i e d y s k r e t n i e „pstyknie", wówczas widzimy siebie takimi, jakimi jesteśmy. Nasz ruch, nasza mina nie były wtedy „ułożone" na pokaz, lecz naturalne. Więc z tem większem zaciekawieniem obserwujemy siebie samych, nie jak w lustrze, gdy stroimy miny, lecz w naturalnej pozie i w naturalnym ruchu. A gdy chcemy siebie ujrzeć w ruchu, wystarczy kupić mały aparacik filmowy i wyświetlić film na ścianie.



Skomplikowany sprzęt fotografa-amatora z r. 1860 i (na prawo) dzisiejszy aparat do błyskawicznych zdjęć.







Tak zdejmowano 40 lat temu przejeżdżający pociąg — a tak (na prawo) fotografuje się dziś w samochodzie, który pędzi z szybkością 200 km/godz.



Charakterystyczny typ fotografji z końca ubiegłego stulecia.

Odda on nas wiernie i pozwoli skorygować samych. Przywykliśmy już do fotografji; tyle razy przecież jesteśmy „narażeni" na niedyskretną soczewkę aparatu! A jednak każdorazowe odbicie na papierze jest dziwne i ciekawe. Dzięki fotografji człowiek poznał się lepiej niż w powieści i dziełach filozoficznych. Nie tacy jakimi jesteśmy, kiedy się ustawimy koło stolika u fotografa i robimy głupie miny do objektywu a ręce układamy, żeby broń Boże nie były za długie lub za krótkie, wychodzimy na dobrem zdjęciu. Dzisiaj ceni się fotografję żywą: „łapią" nas na kliszę w chwilach najbardziej ciekawych i najbardziej żywych.

Nie bez uczucia śmieszności patrzymy na te wyczyny fotografji z przed lat jeszcze kilkunastu wstecz, gdy to fotografowanie było sztuką magiczną a fotograf czarodziejem z całym rytuałem. Fotografowano się na tle romantycznych źródeł, które wytryskały wprost z wymalowanej skały i prawie pod stopy spływało. Kiedy kanonem fotografji było trzymanie się kurczowe etażerki, na której stał nieśmiertelny bukiet róż z papieru lub gipsowa waza. Dzisiaj nie znikła fotografja szablonowa ale i ona się przekształciła. Zmieniły się rekwizyty. Zamiast etażerki, stolików mamy... samoloty, auta z tektury. Kawaler (czytaj: żołnierz) i panna (czytaj: służąca) stają za wymalowanym samolotem a za tło mają obloki lub widnokrąg krzywo namalowany, żeby tembardziej uwypuklić jazdę. Ręce mają oparte na kierownicy, przechylają się „wdół" i patrzą z „samolotu" na „ziemię". Fotografja zaspakaja fikcyjnie marzenia za podróżą samolotem lub samochodem. Zaprawdę niewiele człowiekowi potrzeba do złudy.

Fotografja zrobiła się dziś zarozumiała. Już się nie zadawala odtwarzaniem rzeczywistości. Sięga zuchwale po wawrzyn sławy. Chce być sztuką! Patrzy na świat oczyma fotoreportera, wyłapującego charakterystyczne zdarzenia oczyma artysty.

Dr Stanisław Peters.





Na prawo: Aparat umieszczony na nartach, do zdjęć w czasie biegów zjazdowych.



Gołąb z przywiązanym aparatem do zdjęć z powietrza — a tu (na lewo) jedno z nich, dokonane przez tego uskrzydlonego „fotografa".

Fakt rozpowszechnienia się sztuki fotografowania, we wszystkich warstwach społeczeństwa, skłania Redakcję „Asa" do otwarcia na łamach magazynu specjalnej rubryki, poświęconej amatorskiej fotografji, odznaczającej się wysokim poziomem artystycznym i nienaganną techniką wykonania. *Red.*

Nasza czwarta ankieta

KTÓRY MOMENT W ŻYCIU ZADECYDOWAŁ O MEJ KARJERZE?



MOWI: KAZIMIERZ LASOCKI, ARTYSTA-MALARZ

Kazimierz Lasocki jest artystą-malarzem, który zarówno na terenie Warszawy, jak i daleko poza stolicą ma imię wyrobione i ustalone. Lasocki — to równocześnie postać bardzo popularna i znana w warszawskim świecie artystycznym. Krąży o nim stale spora liczba anegdotek i wesołych powiedzonek jemu przypisywanych, jednających temu artyście, o typie starego szlachcica — Zagłoby, powszechną sympatję.

Lasocki, pochodząc z roli (jego rodzina oddawna osiadła na wsi w Gąbińskiem) umiłował w swem malarstwie przedewszystkiem pejzaż, lecz pejzaż niemal wyłącznie mazowiecki. Są to więc płaszczyzny o dalekim horyzoncie, czyste wody z płytkiem dnem, płynące po jasnym piasku, piaszczyste drogi i ubogie, podlaskie gospodarstwa wiejskie, gdzie — jak sam Lasocki powiada — w polu las, a w lesie pole, gdzie jedyną kulturą są skowronki, biedną tę ziemię nawożące. Ten — może nieco monotonny pejzaż umie jednak Lasocki ożywić i robi to — trzeba przyznać — w sposób mistrzowski. Oto na płótno wprowadza niezauważone niemal przez innych malarzy zwierzęta domowe, psy, biedne chude szkapiny i naszą najzwyklejszą, polską łaciatą krowinę. W malowaniu krów doszedł Lasocki do zadziwiającej precyzji. Za swe obrazy, przedstawiając krowy w drodze na pastwisko, czy na łące, lub pijące wodę w stawie, otrzymał artysta liczne odznaczenia, jak medal Warszawskiej Zachęty, medal P. W. K., odznaczenie prezydenta miasta Warszawy i inne. Jego obrazy zakupiono do zbiorów Zachęty, a duży pejzaż pod tytułem „Południe" (krowy u wodopoju) znajduje się w prywatnych apartamentach Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Na tle tego właśnie upodobania tematu malarskiego spotkała Lasockiego zabawna przygoda. Oto zdarzyło się, że artysta wystawił w warszawskiej „Zachęcie" jedno ze swych cennych płócien, które przedstawiało jakiś piękny pejzaż. Wbrew dotychczasowym „zasadom" Lasocki nie umieścił na obrazie ani jednej krowy. Pewien warszawski „śledziennik", podobno nawet znajomy artysty, przystanął przed obrazem i zapytał:

— Mistrzu! A gdzież jest bydlę?

— Tym razem stoi przed obrazem! — odpowiedział ze stoickim spokojem Lasocki. Cięta odpowiedź artysty stała się tematem długo opowiadanej anegdoty.

Lasocki jest artystą o pewnej, silnie zdecydowanej linji malarskiej. Zaciekawiło mnie, co mogło artystę sprowadzić na te właśnie tory. Musiał niewątpliwie być jakiś moment w jego życiu, który wywarł wpływ decydujący.

— Mistrzu — zagadnąłem pewnego razu Lasockiego. — Pomówmy chwilę o pańskich obrazach. Wiem, że malował pan nietylko nasz krajobraz rodzimy, ale i obcy, a prócz pejzażu jeszcze i akt i portret. Dlaczegóż z takim uporem wraca pan zawsze do naszego Mazowsza?

Mazowiecki krajobraz, to temat dla Lasockiego wprost umiłowany. Dlatego na moje zapytanie odpowiada z wielkim zapałem.

— Widzi pan, z widokiem naszej ziemi rodzinnej to jest tak, jak z ojczystą mową. Trzeba panu wiedzieć, że prócz aspiracyj malarskich, miałem również zdolności do obcych języków. Dużo podróżowałem po Europie, ucząc się przytem pilnie obcej mowy. I niech mi pan wierzy: im więcej poznawałem obcych słów, tem bardziej tęskniłem do mowy polskiej. Im więcej widziałem krajobrazu obcego, z tem większą radością wracałem do naszych pól i łąk. To już widocznie siedzi gdzieś we mnie głęboko w duszy. Kocham ziemię. Moją pasją jest słońce. Lubię deszcze i wichry jesieni, które przemawiają do mnie nie smutkiem, lecz głębokim nastrojem niekolidującym z radością słoneczną. Żyję w przyjaźni ze zwierzętami. Gdy w czasie pobytu na wsi wybieram się w teren na pejzaż, wszystkie psy sąsiadów asystują mi. Idą ze mną malować. Graniasta, łaciata krowa, którą tak chętnie umieszczam na swych obrazach, to przecież kwiat kolorowy o konkretnym, zdecydowanym kształcie, tak pięknie harmonizujący z otoczeniem.

— Widzę, że pan bardzo kocha przyrodę.

— Tak, kocham ją od dzieciństwa. Jestem szczęśliwy, gdy mogę ją podpatrzeć, przetrawić w tyglu mej duszy, i te wrażenia swoje przenieść na płótno.

— Zatem już jako dziecko objawiał pan zamiłowanie do malarstwa?

— Tego nie powiem. Tak nawet być nie mogło bo jako młody chłopiec nie mogłem rozumieć tego związku między przyrodą, a malarstwem. Żyjąc w pejzażu, a nawet go kochając, nie widziałem go. Przyszedł dopiero pewien moment w mem życiu, który zadecydował o mej karjerze malarskiej, a w szczególności o karjerze malarza-pejzażysty.

— Cóż to było? — pytam zaciekawiony.

— Dziwna rzecz. Był to widok pewnego obrazu. Chełmońskiego — „Zające w koniczynie". Wpatrując się w ten obraz tak wspaniale oddający barwę, urok natury i jej życie, zrozumiałem wielką tajemnicę. Tę oto, że wrażenia, odczuwane w duszy, można przyoblec w widzialny kształt i barwę. I tak zostałem malarzem.

— No i jakże się panu powodzi w tym zawodzie? — pytam.

Lasocki się uśmiechnął:

— Malarz, proszę pana, jest jak wyżeł. Chodzi mu o to, aby kuropatwę wystawić, a obojętne mu jest kto ją potem zeżre.

— Jak to... obojętne? — pytam zaskoczony.

— No niech pan tego nie bierze dosłownie — śmieje się Lasocki. Pytał pan o to, jak mi się powodzi. Dla malarza nie to jest zasadnicze. Mnie chodzi o uchwycenie efektu, o zanotowanie nastroju. A zysk? Ot tyle, ile trzeba, by żyć...

Zanotowanie nastroju... Brzmią mi te słowa Lasockiego dotychczas w pamięci. Istotnie, jakżeż trudno zanotować nastrój!

Nastrój mej rozmowy z Lasockim był raczej poważny. Głęboki, nie pozbawiony sentymentu. W jakiż jednak sposób zanotować go, skoro na zakończenie rozmowy usłyszałem z ust arstysty następujące zdanie:

— Czy pan zauważył, że wielu malarzy żeni się ze swemi modelkami? Mnie to nie grozi — ja maluję krowy!

No, i nastrój djabli wzięli!

rb.

„TOALETA" OLBRZYMA TRANSOCEANICZNEGO

Zdjęcie z doków porta Cardiff w Anglji. (Fox-Photo). →



297.000 KM. NA SEKUNDĘ

OD BECQUERELA DO IRENY JOLIOT

Jedyny to wypadek w dziejach wiedzy, by najwyższe uznanie świata naukowego — nagroda Nobla — trzykrotnie przypadło tej samej rodzinie. Możemy się szczycić, że zdarzenie to dotyczy Polki, Marji Curie-Skłodowskiej i jej córki Ireny Joliot.

A jak to było — opowiem.

Dwa pierwiastki Polon i Rad zostały odkryte w 1898 r. wspólnie przez Marję Skłodowską i jej męża Piotra Curie. Niemożliwem jest ustalić czyją to jest większą zasługą, w każdym razie należy podkreślić, że Marja Curie pod własnym nazwiskiem ogłosiła w 1898 r. rozprawę o promieniowaniu związków Uranu i Toru, wykazując i udowadniając, że promieniotwórczość nie zależy od postaci (związku chemicznego) w jakiej występuje dany pierwiastek promieniotwórczy, a jest wyłącznie jego zjawiskiem wewnętrzno-atomowem. Jednocześnie przepowiedziała odkrycie Radu i Polonu i owocem jej własnych badań było ustalenie metody oddzielania Radu od innych ciał.

Marja Curie-Skłodowska ur. w 1867 r., szkoły średnie skończyła z złotym medalem w Warszawie. W Paryżu dostała licencjat nauk fizycznych następnie matematycznych w 1894, a w 1903 doktorat. — Za Piotra Curie wyszła w 1895, owdowiała w 1906 wskutek śmierci męża pod kołami samochodu na ulicach Paryża.

W 1903 małżeństwo Curie łącznie z odkrywcą promieniotwórczości H. Becquerelem otrzymali nagrodę Nobla. W 1911 p. Curie — jako wdowa — otrzymała ją już sama dla siebie. — W bieżącym roku jej córka razem z mężem, poraz trzeci połączyła swemi odkryciami nagrodę Nobla z nazwiskiem Curie. — Wszystkie 3 udzielone zostały za prace z dziedziny radioaktywności.

Cóż to za dział nauki, że oczy całego świata, w ciągu krótkiego czasu, aż trzykrotnie mogą się zwrócić na wynik badań z tego zakresu?

O pierwiastkach promieniotwórczych-radioaktywnych — każdy słyszał. Ale co to właściwie jest „promieniotwórczość"? By na to odpowiedzieć muszę sięgnąć trochę dalej i przypomnieć szereg innych faktów.— Ciała — materja — składają się z molekułów drobiu). Z górą 2000 lat mija jak Demokryt z Abdery (nie wszyscy Abderyci byli głupcami!) uczył, że ciała składają się z atomów — niepodzielnych cząsteczek. W ówczesnem pojęciu były to dzisiejsze molekuły. Dopiero John Dalton w 1808 r. uczynił krok naprzód i stworzył pojęcie atomu, jako najmniejszej cząsteczki, z których składają się molekuły. Te atomy przez jakie 100 lat uważane były za niepodzielne i najmniejsze cząsteczki materji. Budowa materji wówczas przedstawiała się w sposób dość prosty: n. p. molekuł wody (H^2O) to był jakby balon, w którym siedziały sobie 3 kulki: 2 atomy wodoru i 1 tlenu. Jakby 3 kule bilardowe w worku! Można było z tego worka poszczególne kulki wyjąć, ale podzielić je? Nie! to było uważane za niemożliwe — sprzeczne z założeniem. — Przekonanie powyższe tak wrosło w krew i tak wydawało się oczywistem, że obalenie z końcem XIX wieku tego „pewnika" wywołało wprost niesłychane wrażenie. Stwierdzenie faktu, że atom to mały układ słoneczny dla siebie, że jest w niem centralne słońce — jądro i planety (odkryte przez Thomsona) — elektrony, wirujące z niewyobrażalną szybkością naokoło tegoż, że jeżeli jądro to punkt zrobiony ołówkiem na papierze, to obszar, w którym wirują elektrony, odpowiada — proporcjonalnie — kołu o średnicy 100 metrów (wieża Marjacka ma tylko 80 m. wysokości), że więc atom, ta cegiełka budowy materji, to właściwie pusta przestrzeń, było czemś tak przewrotowem, jak — dajmy na to — poruszenie przez Kopernika ziemi, a zatrzymanie słońca.



Sp. Marja Curie-Skłodowska, która w r. 1898 wraz ze swym mężem, Piotrem Curie, odkryła pierwiastki Rad i Polon.

Tę skomplikowaną budowę atomu odkryły nam właśnie zjawiska promieniotwórczości. Z chwilą, gdy Becquerel 24 lutego 1896 r. przedłożył Paryskiej Akademji Umiejętności exposé o promieniowaniu związków Uranu i to bez żadnej podniety z zewnątrz, otworzyła się nowa era w nauce i ludzkość jeszcze raz przekonała się, że gmach wiedzy nie miał jeszcze dachu, że nowe piętra trzeba stawiać i że budowa ta, prawdopodobnie, nigdy nie będzie ukończona.

Promieniotwórczość a promieniowanie (lub radjoaktywność i radjacja), to nie są dwa różne słowa na określenie podobnych zjawisk, podobnie jak aptekarz a właściciel składu aptecznego — to dwa różne zawody. Przykład wyjaśni to najlepiej.

Uran (czy inny radjoaktywny pierwiastek) wysyła niewidzialne dla oka promienie. Konstatujemy je przez położenie w pobliżu kliszy fotograficznej owiniętej w czarny papier lub zamkniętej w drewnianem pudełku. Klisza czernieje pod wpływem tych promieni. — Światło świecy n. p. nie działa przez czarny papier. Promienie Röntgena zato przenikną papier, drzewo i też zaczernia kliszę. Ale... i tu leży zasadnicza różnica: gdy do drogi promieni — (wychodzących np. przez otwór w pudełku, do którego zamknęliśmy ich źródło) zbliżymy magnes, to ani światło świecy, ani promienie Röntgena nie zostaną odchylone, czyli oba promienie są pokrewne, a różnią się — wiemy to skąd inąd — tylko długością fali. Fale promieni Röntgena są tylko tysiące razy krótsze. Istota ta sama — ruch falowy. Fakt ten ustalił uczony monachijski v. Laue.

Przybliżymy teraz nasz magnes do Uranu. Ze zdziwieniem skonstatujemy, że ślady na kliszy wykażą rozbicie wiązki promieni na trzy części, nazwane dla odróżnienia: alba, beta, gama. Gama biegnie prosto przed siebie, nie zmieniając trasy biegu, alfa odchyla się nieco, a tor cząstek beta zakrzywia się bardzo silnie w odwrotną stronę, niż alfa.—Z tego wywnioskowano, że to strumienie cząstek rozmaicie naładowanych elektrycznie i dlatego (w myśl zasady: równoimienne odpychają się, różnoimienne przyciągają) odchylających się pod wpływem magnesu w przeciwne kierunki. Badania wykazały, że cząstki beta są ujemne, a więc elektrony, a alfa dodatnie, a więc są jądrem. Gama zaś nie jest wogóle naładowana i jest zwykłem promieniowaniem odpowiadającem promieniom Röntgena.

Teraz możemy sobie zdefinjować różnicę między promieniowaniem a promieniotwórczością. — Promieniowanie, to wytwarzanie ruchu falowego, promieniotwórczość — to wysyłanie strumieni cząsteczek składowych atomu, o różnych ładunkach, powstałych wskutek rozpadania się atomu.

Postaram się to bliżej wyjaśnić. Atom Helu składa się z jądra i okrążających go 2 elektronów. — W roku 1902 Rutherford i Soddy doszli do przekonania, że cząsteczki alfa — to właśnie atom Helu, pozbawiony elektronów, czyli jądro Helu, ściśle mówiąc jądro Helu podwójnie dodatnio naładowane. Strumienie alfa są łatwo zatrzymywane przez przeszkody (np.



Córka wielkiej uczonej p. Joliot Curie, która również jak i matka otrzymała nagrodę Nobla z zakresu chemji.



Piotr Curie wraz z małżonką w laboratorjum paryskiem.

płytkę aluminiową), beta trudniej, a promienie gamy są najbardziej przenikliwe. Dalej cząstki alfa mają stosunkowo dużą masę i poruszają się powoli, bo „tylko" z szybkością 19,200 km. na sekundę (pocisk armatni leci z szybkością ca 1 km/sek. (cząstki beta mają małą masę, zato biegną z szybkością do 297.000 km. na sek., a więc zbliżającą się do największej możliwie szybkości — światła.

No dobrze, ale cóż właściwie charakteryzuje dane ciało? Co stanowi, że to jest dajmy na to azot, a nie węgiel? Zdawałoby się, że ilość okrążających jądro elektronów, to charakterystyka atomu. Otóż tak nie jest! Atom azotu np., którego jądro nawet całkiem pozbawiono elektronów, pozostaje dalej azotem. A więc? Tak jest! Jądro atomu, to jest istotna część ciała; istotna, ale nie ostatnia cegiełka budowy materji. Niestety, na nim nie kończy się jej struktura. Tak, jak jądro charakteryzuje atom, tak jądro znów jest scharakteryzowane przez zawarte w niem dalsze cząstki protony i neutrony. Odrazu powiem: proton, to jądro wodoru. Proton jest naładowany dodatnio. Neutron jest elektrycznie obojętny, a wzajemny ich stosunek jest taki, że proton może się zamienić (wewnątrz atomu) w neutron i elektron pozytywnie naładowany (niedawno dopiero dowiedzieliśmy się, że mogą istnieć elektrony dodatnie!). Dzieje się to, gdy atom został uderzony, a więc przyjął energję z zewnątrz, co spowodowało przemianę za pomocą promieniotwórczości sztucznej. Zwykła promieniotwórczość, to przemiana neutronu w proton i elektron negatywny, przyczem energja wewnętrzna atomu wydostaje się na zewnątrz. Wyjaśnię to jeszcze na przykładzie, by jednocześnie podać i przykład transmutacji pierwiastków. O czem marzyli alchemicy wszystkich wieków i starali się osiągnąć drogą skomplikowanych mistycznych rozważań, nowocześni uczeni doprowadzili do skutku, jak dotąd w małych granicach i nakładem dużych kosztów. Jak? Bombardowaniem atomów promieniami wysyłanemi przez ciała radioaktywne — cząsteczkami alfa, tj. jądrami Helu. Gaz Hel ma jądro zawierające 2 protony i 2 neutrony, jakby 4 kulki zamknięte w pustej kuli.

Weźmy Bor jako cel pocisków. Jądro Boru zawiera 5 protonów i 5 neutronów. Atom Boru (jak każdy atom), to pusta przestrzeń wypełniona w tym wypadku przez 1 jądro i 5 planet-elektronów. Miljony więc cząstek alfa przeleci obok jądra, nim wreszcie jedna w nie trafi i wpadnie do wnętrza. W następstwie mamy w jądrze przez chwilę 7 protonów i 7 neutronów. Fakt ten zachwiał równowagę wewnętrzną tak, że dla jej przywrócenia, jeden neutron musi „pofatygować się" na zewnątrz. Pozostaje teraz w jądrze 6 neutronów i 7 protonów, a takie jądro to poprostu nasz dobry znajomy, azot. Stało się to, co jest wynikiem badań Joliot-Curie, za co dostali nagrodę Nobla! Otrzymaliśmy nowy pierwiastek i to radioaktywny, a jego radioaktywność wywołano sztucznie.

Cóż się tam dalej dzieje? Wskutek uderzenia atom przyjął energję. Jeden z protonów na to reaguje i przemienia się w neutron pozostający w swoim domku-jądrze i elektron pozytywny, wylatujący na zewnątrz. Pozostałość to 7 neutronów i 6 protonów. Takie jądro zaś to węgiel. Jest to stadium ostatnie. Sztucznie wywołana promieniotwórczość skończyła się — powstały węgiel jest już obojętny. Dodam, że radioaktywność azotu trwała kilkanaście minut.

Mimochodem wspomnę, jaki z tego doświadczenia można wyprowadzić wniosek: tak, jak spokojny węgiel wydobyliśmy z procesu radioaktywnego, tak, należy przypuszczać, wszystkie obecnie egzystujące „martwe" pierwiastki pochodzą z innych radioaktywnych, które przed wiekami wygasły, względnie straciły swą siłę promieniotwórczą.

Mój Boże! ale poco to wszystko — co komu z tego przyjdzie? — Nigdy nie wiadomo!

Uczeni oddają się pracom bezinteresownie, nie bacząc na późniejsze praktyczne możliwości. Röntgen oddał swój wynalazek cierpiącej ludzkości bezinteresownie, choć mógł na nim zarobić miljony.

Odkrywca fal radjowych Hertz (fale radjowe a radjoaktywność to zupełnie co innego. Fale radjowe różnią się od światła tylko długością fali) nie interesował się zupełnie życiowem rozbudowaniem swego odkrycia. Wszak swego czasu wydawało się odkrycie jakichś tam fal elektro-magnetycznych zabawką uczonych. A teraz każdy nakładający słuchawki połączone z pudełkiem o kłębach poplątanych drutów, może słuchać opery z La Scala, nieruszając się z łóżka.

Rad odkryty przez p. Curie leczy różne ciężkie choroby. Sztuczna radioaktywność, prezent Joliot-Curie dla ludzkości, pozwoli na liczne zastosowania praktyczne. Doktór będzie mógł dokładniej stosować zastrzyki w dozach czasowo ściśle określonych. Radioaktywność nie będzie ograniczona do posiadania tak rzadkich i bardzo drogich pierwiastków Radu czy Polonu, ale będzie mogła być wywołana skutecznie odpowiedniemi urządzeniami. Poza tem wydaje mi się ten wynalazek tem także sympatyczny, że służy — jak dotąd — tylko do celów przynoszenia ulgi ludzkości, a nie do wzajemnego mordowania się — jak tyle innych.

J. Dołęga-Lewandowski.

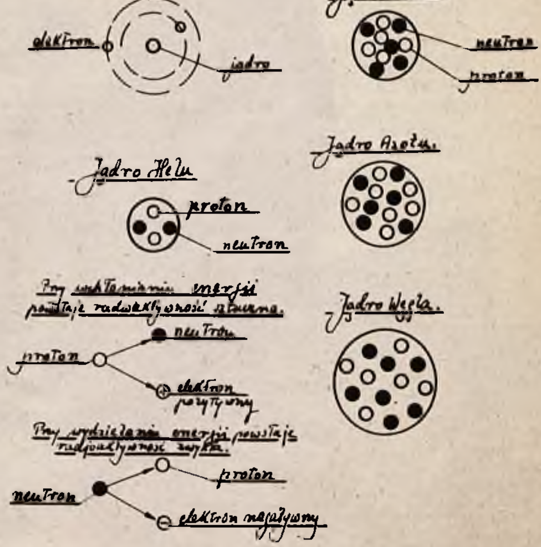


Instytut Radowy w Warszawie jest poważną placówką naukową,

Poniżej: Fragment Instytutu Radowego w Warszawie.



Poniżej: Tabela poglądowa, wykazująca skład atomów.





Młoda matka „Bu-Bu“ z dumą i lekceważeniem patrzy na otaczającą publiczność, gdyż jest przekonana o wielkich zdolnościach swego pierworodnego synka „Jubileusza“.



...a tymczasem „Jubileusz“ zupełnie jak małe dziecko chodzi na czworakach, poznając miejsce, które stało się jego ojczyzną.

małpa małpie nierówna...



Para szympansów Jackie i Rastus wspomaga się wzajemnie podczas porannej kąpieli w klatce londyńskiego ogrodu zoologicznego.



Poranny posiłek odbywa się pod czułem okiem szympansicy.

Jaki śmieszny ten jegomość z tą nadętą miną, jakby ciągle i wszystkim chciał okazywa! swoją wyższość!

— A ta dama „wyfiokowana“ w tym zielonym kapelusiku z piórkiem, toć to istny koczkodan! Jak się rusza, bardzo przypomina ciocię Bu-Bu!

— Ale wogóle co tu niebywałych stworzeń można się napatrzeć, siedząc za temi głupiemi kratami, niektórzy z nich... to istni ludzie! — zakonkludował, podnosząc do góry wielki palec lewej nogi senior rodziny „Rastus“. Uwaga głowy rodziny spowodowała, iż wszyscy członkowie zaczęli stroić miny i małpie figle, które ludzie stojący przed klatką zupełnie źle zrozumieli.

Ileż to razy, uważając, że się krytykuje, jest się krytykowanym lub wyśmiewając się z innych, wyśmiewanym! Ludzie chodzący do ogrodu zoologicznego rzadko kiedy umieją się „lojalnie“ ustosunkować do oglądanych przez siebie zwierząt i postępować z niemi jakby wypadało wśród... gentlemanów! Nic też dziwnego, że zwierzęta rewanżują się pięknem za nadobne i patrząc na ludzi, robią uwagi, bezwątpienia niemniej dowcipne i złośliwe od tych, które my czynimy o mieszkańcach zoologów.

Darwin, wyprowadzając naszą genealogję od małp, uczynił ludzkości wielką przykrość, tworząc jej w ten sposób „takich“ kuzynów, ale podobno i małpy były niepocieszone, gdy się dowiedziały, na jak złe drogi zeszły niektóre latorośle małpiego rodu!

Mały potomek małp z dziada pradziada zamieszkujących drzewa kokosowe, „Jubileusz“ stanowi atrakcję dla Londyńczyków, gdyż niema pocieszniejszego nad niego stworzenia. Przypomina on pluszową małpkę, a olbrzymie jego uszy znamionują zdolności muzyczne. Poważne jego imię, które otrzymał z okazji królewskiego jubileuszu, podczas którego ujrzał światło dzienne, nadaje mu specjalnego prestige'u w rodzinie i należy on podobno z tego tytułu do najbardziej lojalnych poddanych of His Royal British Majesty.

J. G. M.

POD BERŁEM KRÓLOWEJ

Haga — największa wioska świata, jak ją sami Holendrzy nazywają, jest stolicą i rezydencją tego dziwnego poniekąd kraju. Królowa mieszka tam w pośrodku jednej z najbardziej kupieckich ulic. Zajmuje ona mały pałacyk, z trudem odbijający się od sąsiednich domów, przed którym znajduje się jeden tylko policjant na warcie. Nawprost jakaś firma reklamuje nowe odkurzacze. Domy wybudowane są tutaj, jak i w całej Holandji zresztą, z tej czerwonej cegły, którą nazywają „klinkers", gdyż przy uderzeniu wydaje ona dźwięk podobny do dzwonu.

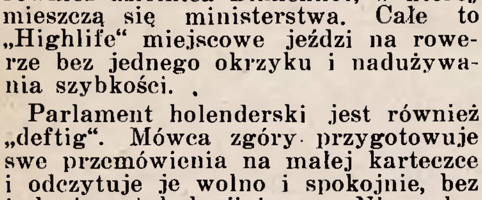
Otworzyła się właśnie brama królewskiego pałacu i zobaczyliśmy wyjeżdżającego na rowerze dostojnika dworskiego w cylindrze i żakiecie. Policjant protekcjonalnie go pozdrowił i ten z niewykłą powagą mu się odkłonił, nie zmniejszając w międzyczasie tempa jazdy. Dostojnik w cylindrze pojechał dalej, my zaś zwróciliśmy się do policjanta z zapytaniem, by dowiedzieć się, iż był to szambelan królowej Wilhelminy.

Szambelan dworu na rowerze! Zdziwienie nasze wystawione było za chwilę jednak na nową próbę. Z pałacu wyjechał na tym dwukołowym rumaku dowódca słynnego pułku grenadjerów — nie myśląc nawet o odpięciu ostróg. Wyobraźmy sobie gen. Wieniawę-Długoszowskiego, jadącego po Nowym Świecie w Warszawie na rowerze!

Co tu jednak się dziwić dostojnikom dworskim? Poradzono nam stanąć przed pałacem o ósmej rano i wtedy spotkaliśmy się oko w oko z królową Wilheminą i jej córką Juljaną, następczynią tronu. Cała dynastja przesunęła się przed nami, „pedałując" z tą wielką powagą, którą w Holandji nazywają „deftig".

Co to jest „deftig"? Holendrzy lubią bardzo to słowo. Nie istnieje ono w żadnym języku i dlatego też trudno nam będzie je objaśnić. „Deftig" jest jednak szambelan dworu na rowerze w chwili gdy bez zmrużenia oka i poruszenia ciałem bierze najtrudniejsze wiraże, mając z jednej strony tramwaj, a z drugiej samochód. „Deftig" jest również dzielnica Binnenhof, w której mieszczą się ministerstwa. Całe to „Highlife" miejscowe jeździ na rowerze bez jednego okrzyku i nadużywania szybkości.

Parlament holenderski jest również „deftig". Mówca zgóry przygotowuje swe przemówienia na małej karteczce i odczytuje je wolno i spokojnie, bez żadnej gestykulacji i pozy. Nie wolno krzyczeć, a nawet mówić zbyt głośno. Nikt nie bije brawa, nawet gdy mówi



Pałac pokoju w Hadze, stolicy Holandji.



Królowa Wilhelmina z córką, księżniczką Juljanną na rannej wycieczce rowerem.

królowa. Holender jest „deftig", zapalać mu się więc nie wypada.

Holendrzy roznieśli po całym świecie sekciarstwo. Niech nikt jednak nie sądzi, iż jest to tylko produkt eksportowy. Każdy może tam sobie zakładać sekty, jeśli tylko znajdzie takich, którzy zechcą do nich należeć. Dwadzieścia rodzin ma prawo do założenia szkoły i dlatego też można sobie z tego zdać sprawę, jak łatwo rozmaici sekciarze szerzą na koszt państwa swe poglądy wśród młodzieży.

Kiedy w Holandji przyjmuje się nową służącą, pani domu daje jej do wypełnienia długą kartę, która zawiera wydrukowanych 41 nazw najrozmaitszych wyznań i sekt, istniejących w Holandji. Dla pewności rubryka 42 mówi, iż na wypadek, gdy nie należałaby ona do żadnego z wymienionych poprzednio, niech nazwę jej sama napisze.

W Holandji parlament składa się ze 100 członków, należących do 11 partyj politycznych. Różnica między niektóremi jest tak niewielka, iż mało kto rozumie, na czem ona polega. Nazwy partyj politycznych brzmią dla naszego ucha nieco dziwnie. Obecny gabinet opiera się na pięciu ugrupowaniach: rzymskich katolikach, liberałach, radykalnych liberałach, antyrewolucjonistach i historycznych chrześcijanach. Te dwie ostatnie partje ożywia niesłychana nienawiść do zasad Rewolucji Francuskiej i Deklaracji Praw Człowieka. Wszystkie partje holenderskie mają swe doktryny, szkoły i nawet swe godziny w radjo, gdzie każda z nich ma prawo do określonej liczby przemówień propagandowych. Dlatego też możemy usłyszeć jednego wieczoru przez radjo holenderskie antyrewolucjonistę, konserwatystę, socjalistę i komunistę. Nikogo to tam nie dziwi. Holender jest „deftig".

Obecny premjer Holandji, minister Coleyn jest jednym z najwybitniejszych teologów swego kraju. Codziennie obok listów w sprawach dotyczących kierowania państwem, otrzymuje on liczne zapytania o nieśmiertelności duszy i życia pozagrobowego. Coleyn na wszystkie te listy odpowiada i to niemal zawsze odwrotną pocztą. Obecnie w związku z konfliktem włosko-abisyńskim pastor Zanat, deputowany niezależny, występuje przeciw Lidze Narodów, ponieważ statut jej jest sprzecznym z doktrynami sekty Zanata. Jest tam partja wstrzymujących się od głosu, a więc ludzi, którzy z zasady nie biorą udziału w żadnych wyborach. Rzecz oczywista nie są oni w [parla]mencie reprezentowani. W Holandji zresztą kilkuset mężczyzn ma prawo do założenia zupełnie legalnej partji politycznej. Istnieje tam nawet partja przeciwników godziny letniej.

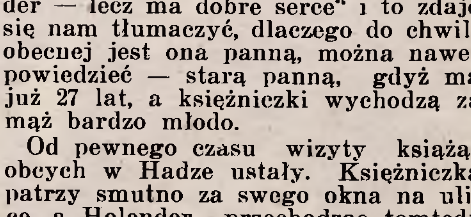
Holandja, jak wszystkie inne kraje przechodzi kryzys gospodarczy. Nie zajmuje on jednak całkowicie Holendrów i martwi ich może więcej trudność w znalezieniu męża dla popularnej tam „Juljantje", następczyni tronu i jedynej córki królowej Wilhelminy.

Dynastja holenderska cierpi już od stu lat na... brak mężczyzn. Po śmierci Wilhelma III w 1890 roku, zaczęła sprawować rządy państwem królowa Emma, by w dziesięć lat później oddać je w ręce jedynej swej córki Wilhelminy. Ta wyszła zamąż za ks. Henryka meklemburskiego, z którym miała jedno tylko dziecko — ks. Juljanę. Poraz trzeci więc skolei na tron ma wstąpić kobieta.

Ożenić księżniczkę nie jest łatwo, a cóż dopiero mówić o następczyni tronu! Przed wojną generalną dostarczycielką mężów dla księżniczek holenderskich była Rzesza Niemiecka. Dziś jednak w Holandji istnieje silny prąd antyniemiecki i ludność nigdyby się nie zgodziła na to, ażeby jej królowa wyszła zamąż za Niemca. Tymczasem jednak mało już jest książąt krwi królewskiej na świecie. Do Hagi przyjeżdżali więc książęta północni. Norwegja, Szwecja, Danja wysyłała tam synów królewskich. Za każdym razem Holandja z radością oczekiwała zapowiedzi uroczystości zaręczynowych i za każdym razem dwór musiał wiadomości te dementować. „Juljantje nie jest ładna — mówi o niej Holender — lecz ma dobre serce" i to zdaje się nam tłumaczyć, dlaczego do chwili obecnej jest ona panną, można nawet powiedzieć — starą panną, gdyż ma już 27 lat, a księżniczki wychodzą za mąż bardzo młodo.

Od pewnego czasu wizyty książąt obcych w Hadze ustały. Księżniczka patrzy smutno za swego okna na ulicę, a Holender przechodząc tamtędy mówi z żalem „biedna Juljantje"! Zupełnie jak w bajce...

(hajot).

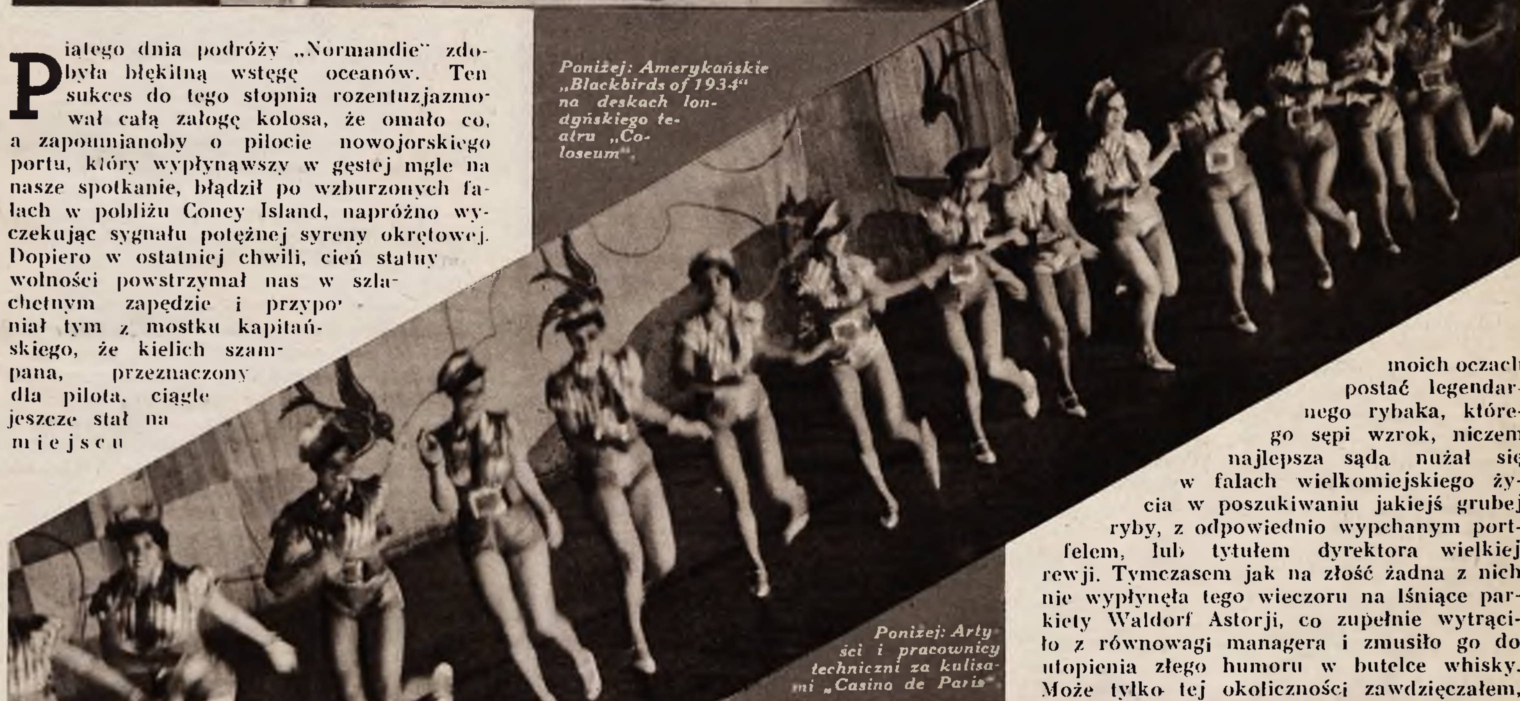


Parlament holenderski w Hadze jest olbrzymią budowlą, pochodzącą z XVI wieku.



Jak powstaje REWJA?

Piątego dnia podróży „Normandie" zdobyła błękitną wstęgę oceanów. Ten sukces do tego stopnia rozentuzjazmował całą załogę kolosa, że omało co, a zapomnianoby o pilocie nowojorskiego portu, który wypłynąwszy w gęstej mgle na nasze spotkanie, błądził po wzburzonych falach w pobliżu Coney Island, napróżno wyczekując sygnału potężnej syreny okrętowej. Dopiero w ostatniej chwili, cień statuy wolności powstrzymał nas w szlachetnym zapędzie i przypomniał tym z mostku kapitańskiego, że kielich szampana, przeznaczony dla pilota, ciągle jeszcze stał na miejscu nienaruszony. Tymczasem wśród pasażerów dwóch pierwszych klas szalała istna orgja wesołości. Jakiś deputowany francuski, gentleman o imponującym wzroście, który płynął w oficjalnym charakterze i podobno miał wygłosić jedno z przemówień powitalnych na ziemi Waszyngtona, zamrażał niewiem już którą z kolei butelkę Crement Rose'a w... cylindrze, otoczony całą armją przepięknych dziewcząteк. Jedna z nich, smukła blondynka o niebieskich oczach, ubrana w fantazyjny kostjum, którego kroju nie powstydziłby się nawet sam monsieur Poiret, wyjęła z torby podróżnej banjolę i uderzając o jej struny w rytmie dzikiego foxtrota rozpoczęła swój szalony step à la Fred Astaire.



Poniżej: Amerykańskie „Blackbirds of 1934" na deskach londyńskiego teatru „Coloseum".

Coś jakby druga Ginger Rogers — pomyślałem, oczarowany temperamentem tej jasnowłosej Józefiny Backer i już w chwilę potem zawarłem z nią znajomość „na zasadzie" wzajemnej sympatji, no i trochę przy pomocy mr. Gibbina, sprytnego managera, który tym razem wyłowił w Paryżu dosłownie cały mendel przyszłych gwiazd rewjowych i wiózł go na pokładzie „Normandie" do Nowego Jorku.

Po wielu jeszcze perypetjach wylądowałem w tem wesołem gronie i jeszcze tego wieczoru znalazłem się w Waldorf Astorji razem z mister Gibbinem i jego piękną pupilką. Miał to być jej pierwszy oficjalny występ na ziemi amerykańskiej, od którego pewnie zależało dobre engagement dziewczyny lub przynajmniej odpowiednie upłasowanie się na t. zw. rynku rewjowym Broadwayu. Gibbin zaraz przybrał w moich oczach postać legendarnego rybaka, którego sępi wzrok, niczem najlepsza sąda nużał się w falach wielkomiejskiego życia w poszukiwaniu jakiejś grubej ryby, z odpowiednio wypchanym portfelem, lub tytułem dyrektora wielkiej rewji. Tymczasem jak na złość żadna z nich nie wypłynęła tego wieczoru na lśniące parkiety Waldorf Astorji, co zupełnie wytrąciło z równowagi managera i zmusiło go do utopienia złego humoru w butelce whisky. Może tylko tej okoliczności zawdzięczałem, że Gibbinowi rozwiązał się język i zwykle mrukliwy jankes rozgadał się na temat organizowania imprez rewjowych. Ciekawa była to opowieść:

— Trzeba panu wiedzieć, że na terenie Ameryki Płn. a szczególnie w Nowym Jorku istnieje bardzo wiele teatrów, które nie mają stałych zespołów aktorskich i co za tem idzie nie funkcjonują w permanencji. Całymi miesiącami obszerne ich sale świecą pustkami i dopiero jakaś niespodziewana inicjatywa któregoś z reżyserów, oparta na finansach bogatego kapitalisty ożywia te mury i zaludnia je rozkrzyczaną gromadą różnokolorowych artystów, armją strzelistonogich girlsów i tłumem pracowników technicznych. Od tego dnia dopiero rozpoczyna się stage takiej ad hoc zmontowanej trupy rewjowej i teatr, dotąd zamknięty, zaczyna żyć nowem, bujnem życiem.

— Ale najciekawsze, to owe momenty, poprzedzające narodziny takiej rewji. Na giełdzie artystów błąka się między tłumem tancerek, śpiewaczek, humorystów, cyrkowców, wreszcie zwykłych girlsów cała masa reżyserów, którzy nie znalazłszy pracy w jakiejś stałej imprezie teatralnej, szukają kogoś, kto ma pieniądze i kogo mogliby „naciągnąć" na sfinansowanie rewji ich pomy-



Poniżej: Artyści i pracownicy techniczni za kulisami „Casino de Paris".



Próba zespołu baletowego teatru Ziegfielda w Nowym Jorku.

słu. Z tym pomysłem to także nie taka prosta rzecz. Przeważnie powstaje on w głowie jakiegoś literata i to tylko w grubszych zarysach. Szczegóły wypracowuje reżyser i dlatego on właśnie często uchodzi za wyłącznego autora widowiska. W każdej imprezie musi jednak funkcjonować także dyrektor, bez którego teatr nie może się obejść. W rewji, ad hoc montowanej, rola ta przypada w udziale reżyserowi, którego od czasu do czasu n spokoi finansista swemi zarządzeniami, często nie mającemi nic wspólnego ze zdrowym sensem teatralnym. Ale czyż się można dziwić? Skąd taki „indyk", nadziany banknotami, może się rozumieć na teatrze? Tajemnicę udziału jego pieniędzy w takiej imprezie rewjowej wyjaśnia zwykle pojawienie się na deskach teatru jakiejś nowej gwiazdy — czytaj: protegowanej „krezusa" — która w wielu wypadkach była jeszcze niedługo przedtem zwykłą girlsą, lub nawet tylko manekinem w którymś z magazynów mód na Five Avenue.

— Moja Yvette, to właśnie taka przyszła gwiazdeczka w poszukiwaniu swego protektora. Ale przyznam się otwarcie, że wolałbym już kontrakt z Ziegfieldem, bo to i zaszczytniejsze i finansowo o całe niebo korzystniejsze. Dostanie się jednak w szeregi zespołu tego prawdziwego „króla rewji", to często tylko marzenie ściętej głowy. A ponieważ, jak pan widzi, moja jeszcze całkiem pewnie siedzi sobie na karku, nie mam ochoty oddawać się marzeniom, odpowiedmat. Dwa razy shake-hand i zawarłem znajomość z niebyle kim, bo aż ze słynnym „poławiaczem gwiazd", Jimem Hollandem, dawnym reżyserem operetek Georgea Gershwina i jego „prawą ręką", Giv Allanem. Interes odchodził na dobre. Gibbin targował się tylko co do wysokości swego odszkodowania za odstąpienie jasnowłosej star. Gaża Yvetty była już ustalona, a protektor, jakiś podtatusiały lowelas, trwający od lat w wiecznej pogoni za wymarzonem pięknem kobiecego ciała, miał się wieczorem zjawić w Astorji.

Tego dnia nie widziałem więcej mych przygodnych przyjaciół. Zapowiedź, jaka dopiero po kilku dniach się pojawiła w dziennikach, zdradziła mi adres teatru, w którego murach mr. Holland zainstalował swą imprezę. Widocznie więc Yvette spodobała się finansiście i otworzyła sprytnemu reżyserowi jego wyładowany portfel. Za kulisami spotkałem Gibbina, który w dalszym ciągu wykłócał sę o resztę swego honorarjum. Objaśnił mnie, że dużo jeszcze wody upłynie w Hudsonie, zanim cały zespół zostanie zmontowany. Narazie na scenie ćwiczy balet. Taper w brudnej koszuli i nieodłącznem cygarem w obleśnej gębie walił z zapamiętaniem w klawisze pianina, na szczycie którego ulokowała się Yvette: nucąc popularny na Broadwayu przebój, fikała zgrabnemi nóżkami, do których śmiały się oczy starszego pana z widowni. To protektor, sam jeden wśród pustych krzeseł, asystował przy pierwszej próbie rewji.



...zmęczona po wyczerpującym tańcu...

Nosowy głos baletmistrza, strofującego niesforne girlsy, dźwięki pianina, młócącego wkółko jedną i tę samą piosenkę, miarowy tupot studwudziestu stepujących nóżek — oto symfonja rannej godziny takiego teatru. Powoli, z dnia na dzień przybywają inne głosy. To soliści, których produkcje przeplatają monotonję ćwiczeń baletowych. Aż wreszcie zbliża się moment premjery i z nim połączone ostatnie przygotowania. Teraz dochodzą do głosu dekoratorzy i pracownie kostjumów, a wślad za nimi wypływa z za kulis cała armja pracowników technicznych. Temperatura na scenie skacze do 40 stopni „w cieniu". Zaczyna się typowy bałagan rewjowy, podczas którego każdy krzyczy, złości się, obraża się, czegoś wymaga lub na coś się nie zgadza. Tylko reżyser musi zachować zimną krew. On wszystkiem kieruje, na wszystko musi znaleść błyskawiczną radę: jego głos ucisza powoli ten rozgardiasz, z którego powstać ma niezmącona harmonja przedstawienia.

A gdy nadejdzie już godzina, w której na portalu teatru rozbłysną neony, głoszące sławę nowych gwiazd, gdy przed szczelnie zapełnioną widownią rozsunie się kurtyna i tysiącom oczu ukaże fragment jakiejś urocznej bajki, gdy potem mury teatru zatrzęsną się od gromkich oklasków zachwyconej publiczności — wtedy dopiero wie reżyser, że jego żmudna, często miesiące trwająca praca nie poszła na marne.

Rodney (Nowy Jork).



Na lewo: Dyrekcja teatru rewjowego przegląda kostjumy solistek.



Ozdobą każdej rewji są piękne girlsy...

nim dla słabych niewiast i jak przystało na dobrego bussinesmana rozglądam się w sytuacji i chwycę napewno pierwszą lepszą okazję. Dziś jest tu dziwnie nudno. Cała złota młodzież siedzi pewnie w jakimś wytwornym klubie. Chodźmy więc spać, a jutro zapraszam pana na giełdę Broadwayu. Tam zobaczy pan wiele ciekawych rzeczy.

I rzeczywiście nazajutrz spotkałem tę oryginalną parę przy stoliku obszernej kawiarni, przy którym siedziało już dwóch gentlemanów, żywo dyskutujących na jakiś te-

Na prawo: Zespół kolorowych tancerzy ćwiczy jeszcze tuż przed rozpoczęciem przedstawienia.



Poraz pierwszy na deskach rewji...

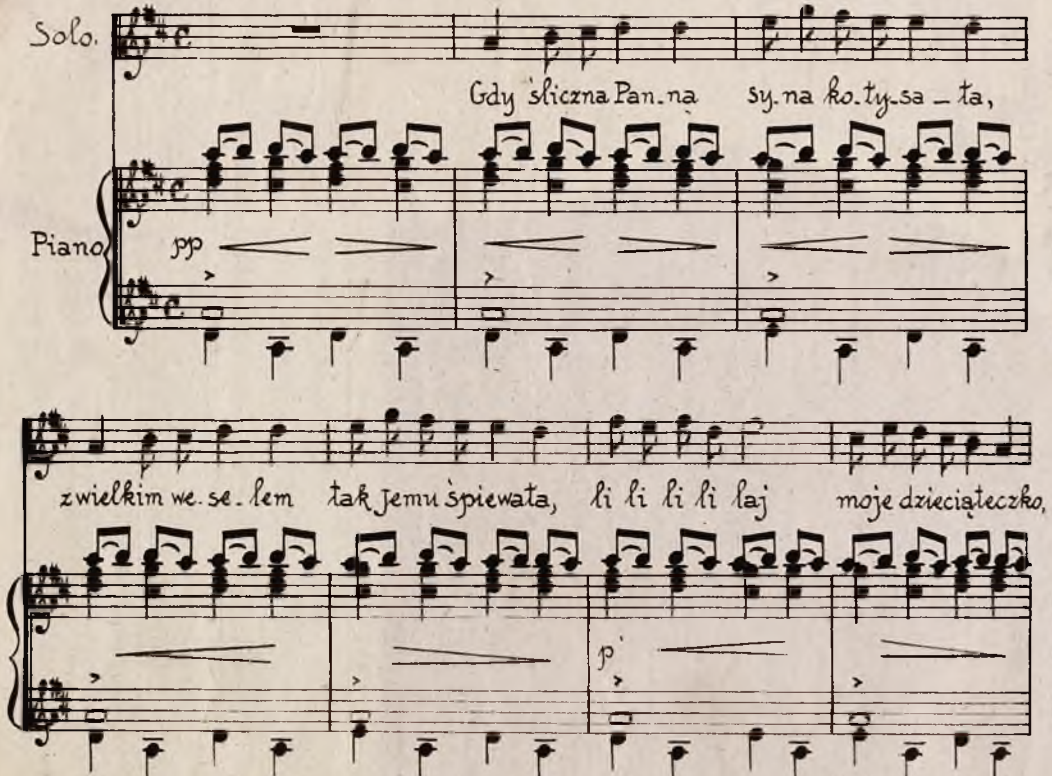
Fot. M. G. M.
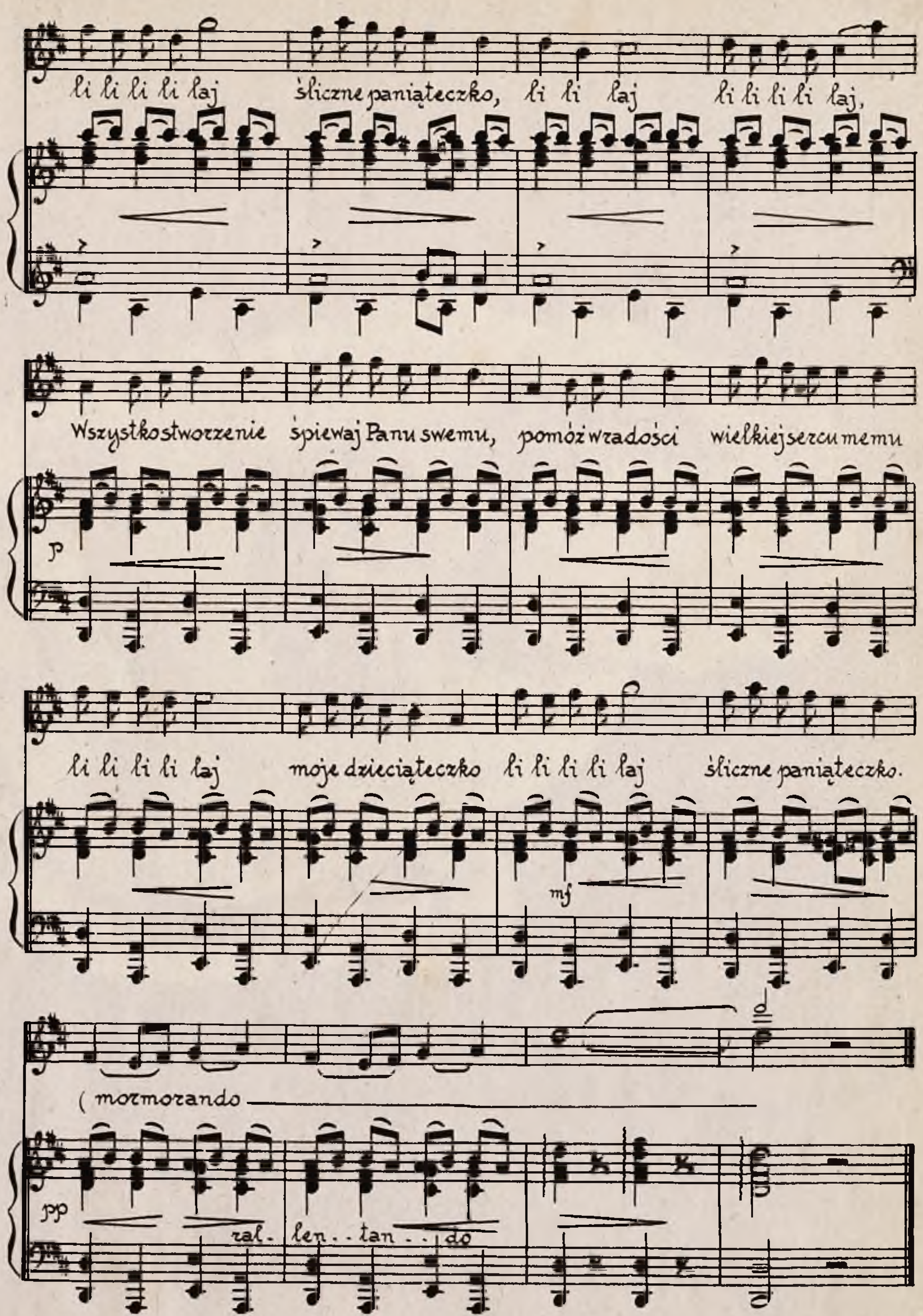


Gdy śliczna Panna

Kołysanka ludowa

Melodja ludowa w opracowaniu Fr. Koniora.





Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

20-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Dziewczyny, które nie zdołały obudzić dotąd niczyjego pragnienia, stały ciągle jeszcze, drżące z zimna i wilgoci, na rogach ulic — rycerze tych dam, z wysoko podniesionemi kołnierzami u palt, snuli się trotuarami, tym cichym, kołyszącym się w biodrach krokiem, który odróżnia ich od reszty przechodniów. Luksusowe lokale zawarły już swe podwoje, lecz w barach, tych drobnych ulach, dystylujących tanią zabawę i użycie — w kawiarenkach, w szynkach przy sklepach tabacznych brzęczał jeszcze rój ludzki — świeciły bladością zmięte, przeżarte gorączką, podejrzane twarze nocnych włóczęgów.

— Najraźniej jeszcze o tej porze w Cordobie — odezwał się Le Droz.

— Zobaczysz — poparł go Vivant — to wspaniały lokal! Gitany, piękne jak młode czarownice! — I tyle ognia, tyle ruchu zawsze — nawet, kiedy słońce jasno już świeci. — Będziesz miał złudzenie, że jesteś w Hiszpanji.

— Tak — późno się u nas spać kładą... — mruknął z roztargnieniem Jasarte.

I nagle, jakby po trudach wyczerpującej podróży, poczuł się śmiertelnie zmęczony. Odpadła go ochota do czegokolwiek; ulice, domy, — nawet trójka przyjaciół — wszystko stało mu się naraz obce, dalekie — prawie, że wrogie.

Przemógł się jednak i razem z nimi skierował się w ulicę Fromentin. Ale kosztowało go to więcej wysiłku, niż wówczas w Afryce, kiedy to z bokiem przeszytym kulą marokańskiego zbója wsiadał w aparat, by wystartować do Casablanki na karnawał. Lecz kiedy się znalazł przed fasadą Cordoby, zdobną w tandetne, gipsowe ornamenty, mające pretensje do andaluzyjskiego stylu — kiedy usłyszał rozbrzmiewający z poza niej migotliwy trzask kastanietów, dźwięczący jakąś naiwną imitacją rozpusty — zbudziło się w nim coś z osaczonego ze wszystkich stron zwierzęcia i krzyknął:

— Za nic na świecie!!

Głos jego stał się nagle tak twardy i tyle było w nim goryczy, że Le Droz nareszcie zrozumiał...

— Przepraszam cię, Ramon, — rzekł — nie przypuszczałem...

Mocnem ramieniem opasał szyję Hiszpana i trzymając go w uścisku, mówił dalej:

— Zastąpimy ci wszystko — zobaczysz... Kochamy cię. Jesteś nasz. — A o reszcie trzeba zapomnieć...

Lecz braterska pomoc, którą tak po męsku ofiarowywał mu Le Droz, nie zdołała rozwiać mgły opuszczenia, która oplotła na nowo i zasnuła swym zaczarowanym kręgiem duszę wygnańca. Ramon de Jasarte miękkim, łagodnym ruchem uwolnił się z uścisku przyjaciela. Ramię Le Droza wydało mu się za ciężkie...

— Dziękuję ci. — Nic mi nie jest. — Poprostu chce mi się spać setnie. — Bawcie się dalej bezemnie. Pójdę do domu — sam. —

Czy akcent, który zadźwięczał w ostatniem słowie Ramona podziałał w ten sposób na Robertę — czy może i na nią padł w tej chwili, ten sam co na niego, ciężar zmęczenia — nietylko fizycznego...?

Nie zastanawiając się nad tem, młoda kobieta poprosiła Ramona, by ją odwiózł na bulwar Lannes.

* * *

Nazajutrz, jak mogła najprościej, tłomaczyła się przed Ivanem i Le Drozem:

— Wzięłam go do siebie... Został u mnie do białego dnia... Taki był biedny, opuszczony... Nie miałam serca pozwolić mu iść samemu w ten szary brudny ranek. I taki był piękny w tym smutku — za ciężkim na jego siły... Czułam, że mu jestem potrzebną. — A potem, nie chciałam, żeby istniała jeszcze jakaś różnica między wami i nim...

— Zaiste, jesteś przyjacielem jakiego mu teraz potrzeba... — rzekł w zamyśleniu Le Droz. — Masz złote serce, Roberto.

— Jeszcze bardziej kocham go teraz! — zawołał Vivant. — I ciebie także, Roberto.

Jednakowoż, kiedy młoda kobieta pogłaskała go z wdzięcznością po czole, począł mówić dalej, jakby głośno spowiadając się ze swych myśli:

— To jednakże jest dziwne... Gdybym miał handrę, to ręka przyjaciela, mężczyzny, na mojem ramieniu — tak, jak wczoraj twoja ręka Le Droz — byłaby mi większą ulgę przyniosła, niż miłość kobiety... Nawet, gdyby kobietą tą była Roberta. — A tobie, Le Droz?

— Także pytanie!

Roberta spojrzała po nich i uśmiechnęła się trochę lękliwie. Zrozumiała lepiej w tej chwili, dlaczego z taką łatwością przyszło jej zostać kochanką Ramona de Jasarte.

IX.

Na dwa dni przed terminem płatności weksla Le Droza, czwórka przyjaciół rozeszła się, jak to było jej zwyczajem, o godzinie, w której słońce, ociągając się, wytacza się wolno ponad Paryż.

I jak co rana, Ramon rzucił Robercie nieśmiałe, a pełne uwielbienia spojrzenie. Młoda kobieta uspokoiła go uśmiechem — i poszli razem.

Vivant i Le Droz weszli tedy sami do małej kawiarenki, by napić się stojąco kawy przy bufecie i przegryźć bułeczką. Była to chwila, którą rozkoszowali się może najbardziej w całej tej długiej nocnej włóczędze. Widzieli wokół siebie ów osad, jaki zwyczajnie pozostawiają rozpalone tryby młyna, mielącego nocną rozpustę, muzykantów — prostytutki — alkoholików — ludzi straconych, na półprzytomnych nałogowców kokainy i eteru.

— Wiesz — odezwał się Le Droz — niczego mi nie żal. Przynajmniej żyliśmy prawdziwie! Nie ugięliśmy się przed nikim. A czasem, kiedy spadło nam z nieba sto franków, byliśmy większymi panami, niż najbogatsi z bankierów.

— I to, że zeszliśmy się — dodał Vivant — to było nasze największe szczęście!

— Szczęście... Przynieśliśmy je ze sobą, we krwi, na ten świat... Szczęście...-

Le Droz powtórzył jeszcze kilka razy to słowo, mające w sobie coś z szeptu o cudownej tajemnicy — miękkie i pieszczotliwe...

— Cicho! — przerwał mu nagle Vivant.

W tylnej salce, za bufetem rozległ się nagle jęk ręcznej harmonji. Człowiek, który grał na niej, był zapewne muzykantem z jakiejś tancbudy, lub grajkiem w jednym z owych lokali, które dla żądnych wrażeń cudzoziemców, sprytni gospodarze urządzają na sposób jam i spelunek, zaludniając je przebranymi za apaszów statystami. Pewnie miał na głowie czarny kaszkiet, a na szyi związany szkarłatny szmat fularu. Lecz ręce jego umiały ożywić instrument całą masą szczerości, ciepła i rzewnej tkliwości. Harmonja pod jego palcami potrafiła wyśpiewać miłosną katuszę dziewczyny — wesołość, roztańczonego na placach i rogach ulic tłumu — smętek, snujący się po nędznych przedmieściach — rozkosze ciężkich oparów podłego wina i fałszowanych alkoholi po knajpach Z dyszących fałdów harmonji płynęła romantyczna piosenka — skarga, żal i szumna wesołość gminnej ulicy — fabrycz-



Le Droz o mało nie połamał aparatu z niecierpliwości.

nego zaułka — ogrodowej restauracji — domów, o oknach zdobnych w suchotnicze kwiatki i w suszącą się na słońcu bieliznę.

— Lubię to — rzekł cicho Vivant. — Za gardło mnie to chwyta... Masz rację, żyliśmy przynajmniej!

Le Droz dnia tego wrócił sam do domu; Vivant bowiem udał się do Villcoublay. Miał tam wypróbować samolot jednego z kolegów na lot, na który mieli wystartować nazajutrz.

Pani Mettenat już była na nogach.

Jedno, co mi cięży, to ten dług — pomyślał Le Droz i równocześnie z przyjemnością wyobraził sobie gęby wszystkich swoich dłużników, kiedy za 48 godzin otworzą ranne dzienniki.

Staruszka przyniosła śniadanie dla dwóch przyjaciół.

— A pana Ivana jeszcze niema? — zapytała.

— Nie przyjdzie, pani Mettenat. (Imię to Le Droz wymówił bardzo ciepło i przyjaźnie). — Trenuje się.

— Czy na ten wielki raid, panie Le Droz?

— Tak, na wielki raid...

Dziennikarz pochłonął swoje śniadanie i zabrał się do porcji Ivana. Nieprzespane noce i alkohol żłobiły zawsze przepaść w jego żołądku.

— Jest poczta dla pana — odezwała się pani Mettenat.

— Do kosza z nią, jak zawsze.

Od pewnego czasu Le Droz zrezygnował nawet z otwierania listów, jakie dostawał. Były to same tylko rachunki, skargi sądowe i zajęcia.

— Powinien pan otworzyć przynajmniej tę kopertę — rzekła staruszka — to z Senatu.

Le Droz przyglądnął się z roztargnieniem nagłówkowi na kopercie; wzruszył ramionami i rzekł:

— Jedynie, żeby pani zrobić przyjemność, pani Mettenat.

Lecz skoro tylko ujrzał podpis, obojętność jego znikła. List był od Armanda Plessoye.

Le Droz przerzucił jednym tchem pismo — powrócił do początku i odczytał je wolno po raz drugi. Pod wpływem upokorzenia i wściekłości, ciemny pons wystąpił mu nagle na policzki.

— Przepraszam panią, — rzek — schodzę do telefonu.

Nie było żadnej przeszkody w uzyskaniu numeru telefonicznego Roberty; mimo to, Le Droz o mało nie połamał aparatu z niecierpliwości. Zaledwie usłyszał w nim głos młodej kobiety, zaczął krzyczeć:

— Nie masz prawa! — Proś o ratunek dla siebie, jeżeli cię strach oblatuje — nie dla drugich! — Nigdy ci tego nie daruję.

— Co takiego? Nic nie rozumiem — odrzekła Roberta. — Piłeś za dużo — czy co?

— Proszę cię — to stary, ordynarny kawał. — Myślałem, żeś sprytniejsza!

— Ale co się stało?

— Dostałem właśnie list od Plessoye. Prosi, żebym dziś nad wieczorem był u niego z Ramonem i Ivanem. — Jeżeli ci się nie chce umierać, nikt cię do tego nie zmusza. Ale trzeba mieć odwagę i żądać ratunku wprost dla siebie. — Taka jałmużna z ręki Plessoye! — Wolałbym stos — tortury! — I to ty, nasz pryjaciel — ty, z naszej czwórki!

Teraz już prawdziwy krzyk, wzmożony jeszcze przez niezwykłą czujność słuchawki przerwał diatrybę Le Droza.

— Jak śmiesz?! — Czyś zwarjował — czyś naprawdę pijany? — Kto ci pozwolił lżyć mnie? — Gdyby ci było tak spieszno zniknąć jak mnie, nie przyszłaby ci do głowy taka podłość! — To ja — ja miałabym prosić Plessoye, aby nas ratował?! Zastanów się człowieku! Czyż nie odchodzę właśnie dlatego, żeby nie widzieć, jak ten człowiek mną pogardza? — Zresztą, to już i tak pewnie się stało — możesz być spokojny! — nie widziałem go już więcej...

I tu głos w oddali zadrgał, jakby złamany...

— Głupie bydlę ze mnie! — Błagam cię, moja maleńka — moja Roberto — przebacz mi! Zrozum, że na samo przypuszczenie czegoś podobnego, porwała mnie wściekłość.

— No dobrze — skończone. Nie potrafię nigdy długo mieć żalu do ciebie.

Nastąpiła pauza dosyć długa, a potem Roberta zapytała od niechcenia — co się nie bardzo naturalnem wydało Le Drozowi:

— A teraz, powiedz, co postanowiłeś względem tego listu?

— Nie wiem jeszcze.

— Myślę, że wartoby jednak pójść...

— Jakto, „wartoby"?

— No, z prostej ciekawości... A jeżeli nie jesteś wcale ciekawy, to idź, choćby dlatego, żeby się przekonać, że jestem całkiem obca tej sprawie. To mi się należy od ciebie.

— Więc uprzedź Ramona, żeby był u mnie o 5-tej. Ivan już będzie wtedy z powrotem. Zaprowadzę ich do Plessoye.

— O, — słuchaj... Jak tam będziesz, rozglądnij się — zobacz, jakie są meble — jakie ma książki — w jakich tonach jest mieszkanie. — Wszystko zresztą...

W telefonie zabrzmiał śmiech, w którym Le Droz wyraźnie odczuł zakłopotanie, co wzmogło jeszcze jego zdziwienie.

— To z ciekawości, nietyle kobiecej, ile dekoratorskiej — rzuciła.

Młody człowiek wrócił do siebie głęboko zamyślony.

* * *

Z gabinetu Armanda Plessoye widać było wzgórze Świętej Genowefy — wszystkie wieże na niem — kręte, pnące się stromo uliczki i stare domy, w których, o wieczornej godzinie, zapalały się jeszcze lampy gazowe. Dom, który wybrał na mieszkanie były minister, nie był urządzony z wiele większym komfortem; posiadał wprawdzie światło elektryczne, nie miał jednak windy (Plessoye mieszkał na 5-tem piętrze), ani kaloryferów i innych wygód nowoczesnych. Jednakowoż drewniane schody błyszczały wspaniale — spiżowy młotek, zastępujący dzwonek u bramy, był najwidoczniej dziełem zamiłowanego w cyzelerskiem rzemiośle rękodzielnika — a pokoje miały rozmiary imponujące.

Pełen rzadkich i pięknych wydań — obrazów, których treść zarówno zdolna była poruszyć zmysły, jak i duszę, gabinet Plessoye zawierał bardzo mało mebli — i to nader skromnych. Stojąc, oparty o ścianę, tak, że głowa jego sięgała półek z książkami, były minister kończył właśnie rozmowę z chirurgiem Piotrem Levrat:

— Dam ci tych trzech kompanów. Z nimi, możesz być spokojny! Przechylą zwycięstwo na twoją stronę — choćby z pomocą karabinu maszynowego, jeśli zajdzie potrzeba. Jeden z nich potrafił zteroryzować całe miasto — dlatego, że był w złym humorze. Drugi — znasz chyba tę historję — dał mi najlepszą nauczkę, na jaką mi się zdarzyło zasłużyć w życiu. Trzeci, to rasowy piękny rumak hiszpański; nie ustępuje w niczem dwom swoim przyjaciołom. — Widzę, że mi nie wierzysz, rzeźniku! Nie masz racji. Tym razem, nie buduję nic według jakichś dedukcyj, intuicyj, spekulacyj — które, przyznaję, nieraz są ryzykowne. Informacje o tych trzech mam od najbliższego ich towarzysza — a postarałem się o potwierdzenie ich z innej jeszcze strony... Przejdź do mojej sypialni. Przyjmę ich tutaj i za chwilę zrobię ci z nich prezent.

Vivant i Ramon weszli do gabinetu ze zwykłą im naturalną prostotą. Le Droz jednakże — mimo wszystko, co czynił, by reagować przeciw temu — czuł się jakoś nieswojo. Starał się to ukryć pod pozorami wyzywającej sztywności.

Plessoye zajął na nowo swoją pozycję pod ścianą; zdawał się zastanawiać nad tem, co miał im zaproponować.

(Ciąg dalszy nastąpi



Strój panny młodej z białej lamy z trenem i welonem z gazy. Bukiet z kwiatów kalji i mirtu.

ŚLUBY I PRZYJĘCIA WESELNE.

Pomimo kryzysu i rozpaczliwego z tego powodu nawoływania głosu rozsądku, ślub o zmroku, w śnieżnych zwojach jedwabiu i gazy jest prawie zawsze marzeniem panny młodej. Zaczniemy tedy opis od niego.

Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba z całym naciskiem, że poetyczny biały ubiór panny młodej nosi się jedynie i wyłącznie wieczorem.

Welon upięty podług modnych wzorów, obciśnięty około głowy, otoczony nisko wianuszkiem, lub umocowany przypiętemi z dwóch stron nad uszami, różami z iluzji, albo pękami drobnych kwiatów, nie koniecznie pomarańczowych wychodzą one bowiem z użycia dla panny młodej, niezbędne są jednak do butonierek z orszaku. Jako kwiaty dla panny młodej uprzywilejowane są konwalje i kielichy kalji. Stroju panny młodej dopełnia okrycie (białe) bogato przybrane futrem.

Tak ubranej pannie młodej towarzyszy narzeczony we fraku. Panie w orszaku ślubnym są ubrane wieczorowo lub balowo. — Wszyscy panowie są we frakach, jedynie bardzo młodzi ludzie magą być w smokingach. Czerń toalet damskich, dawniej bezapelacyjnie skreślona, obecnie zyskała prawo obywatelstwa. Tego rodzaju śluby mogą być brane już od 5. pop.

Wprost z kościoła orszak ślubny udaje się do domu rodziców panny młodej, lub do lokalu, w którym wydawane jest przyjęcie weselne: tam oczekują na młodą parę, przyjmując ją szampanem. Obiad weselny musi być w tym wypadku bardzo wykwintny. Stół przybrany białemi kwiatami i rzęsiście oświetlony. Przed każdem nakryciem menu litografowane na kartkach glansowanego papieru. Menu takie mogą być w sposób artystyczny graficznie ozdobione (parę lat temu p. ministrowa Jadwiga Beckowa dała ku temu inicjatywę, organizując między artystami specjalny konkurs).

Menu obiadu weselnego.

Przekąski, koniak, nalewki, wódki.

Na przekąski podaje się przeróżne sałatki, pasztety, galarety, oraz maleńkie tartinki okrągłe, wycinane kieliszkami, z kremem wątróbek, parmezanem i t. p.

Drugiem daniem powinno być jakieś danie mięsne np. „Vol au vent" z pieczarkami we francuskiem cieście, lub też ryba, np. sandacz duszony w winie, lub łosoś z rusztu, karasie zapiekane, lub t. p.

Zupa żółwiowa, lub zupa z ogonów wołowych.

Pieczyste ze zwierzyny, a więc: combry sarnie, sos groseille — krokiety z ziemniaczków, lub pieczeń z dzika z sosem porzeczkowym. — Można też podawać jarząbki, lub kwiczoły pieczone. Wina: burgund biały, lub czerwony.

Następnem daniem powinna być jarzyna a więc: szparagi, karczochy, lub groszek wykwintnie podany.

Bażanty z kompotem, lub indyk nadziewany — sałaty. Szampan mrożony.

Melba ananasowa, lub lody, najlepiej owocowe — czarna kawa, koniak i likiery.

Około północy, o ile zabawa się przeciąga, podaje się t. zw. cukrową kolację (zorganizowanie tego dania obowiązuje pana młodego). W skład takiego przyjęcia wchodzą przedewszystkiem torty, owoce, kremy, sałatki ze świeżych owoców, oraz stary węgrzyn i szampan.

Po cukrowej kolacji młodzi opuszczają gości, których to nie obowiązuje do rozejścia się. Jeżeli państwo młodzi bezpośrednio z przyjęcia udają się w podróż, goście gremjalnie ich odprowadzają na kolej.

Opisane przyjęcie jest rzeczą kosztowną i mało kto może sobie nań pozwolić. Ludzie, nawet zamożni, którym zależy na wystawnym ślubie, często wolą ślub w godzinach południowych. Panna młoda idzie do ołtarza w kostjumie, lub eleganckiej sukni z matowego jedwabiu, weluru, czy nawet wełny. Pan młody w żakietowym garniturze. Panie z orszaku w wizytowych sukniach, panowie w żakietach lub czarnych marynarkach.

Wiośniana sukienka z białego linon dla drużki na wesele.





Do tego rodzaju ślubów najstosowniejsze są przyjęcia t. zw. drugie śniadania. Od obiadu różnią się przedewszystkiem tem, że zupę podaje się tu w filiżankach, a nie na talerzach. Zależnie od zestawionego „menu" przyjęcie takie może być bardzo skromne lub bardzo wykwinte.

Śniadanie weselne.

I.

Wódki i nalewki — kanapki i przekąski.

Barszcz, lub buljon w filiżankach z pasztecikami, lub t. zw. diablotkami.

Polędwica, albo rosbef po angielsku — ziemniaczki przysmażane. Zamiast tego można podać szynkę na gorąco z groszkiem zielonym.

Wino krajowe białe i czerwone.

Perliczki z kompotem, lub pulardy.

Jakiś tort, czarna kawa oraz sałatka ze świeżych owoców.

II.

Wódki, nalewki, Vermouth i sandwicze.

Zupa-krem w filiżankach, paszteciki francuskie, sandacz po parysku zapiekany z pieczarkami. Białe wina francuskie.

Combry sarnie, lub nawet zajęcze, krokiety ziemniaków — sałaty.
Kompoty mieszane z Wecka.
Lody ananasowe ubierane andrutami.
Czarna kawa i likiery, torty i owoce.
Do deseru wina węgierskie.

III.

Na kwadrans przed podaniem śniadania służba roznosi (w salonie) silnie zamrożone cocktaile w szklanych pucharkach i malusieńkie tartinki wykwintnie przybrane.
Zupa krem z pieczarek w filiżankach z pasztecikami francuskiemi. Wino Madera.
Sandacz duszony w winie i białe wino francuskie.
Polędwica po angielsku z garniturami jarzyn i sałaty. Wina francuskie białe i czerwone, najlepiej Burgund. Szparagi z wody, sos mousselline.
Perliczki, pulardy, lub bażanty pieczone z kompotami. Lody morelowe, lub brzoskwiniowe, lub t. zw. bomby mrożone.
W salonie zastawione cukry, torty, owoce, czarna kawa. Od pieczystego, aż do deseru szampan mrożony. Do czarnej kawy likiery, do tortów i słodyczy stare wina węgierskie słodkie.

Najczęściej spotykanym typem ślubu — jest ślub w godzinach rannych. Panna młoda występuje w kostjumie — najczęściej popielatym, wszystkie szczegóły winny bezwarunkowo harmonizować z sobą barwą a więc: popielata bluzeczka z żorżety lub weluru, takiż kapelusik; popielaty woreczek, pończoszki, zamszowe pantofelki — wszystko to rozjaśnione białemi rękawiczkami i białą butonierką. Pan młody w czarnym lub ciemno-granatowym garniturze marynarkowym; koszula biała; sztywny kołnierzyk, sztywne mankiety, czarne jedwabne skarpetki i lakierowane półbuciki.

Orszak takiego ślubu składa się z nielicznych osób zaproszonych z pośród najbliższych lub typem przyjęcia będzie tutaj five-o-clock urządzony pomiędzy 5 — 7 u rodziców panny młodej albo u bliskich krewnych czy przyjaciół.

Przyjęcie „słodkie": torty, drobne ciasteczka, owoce, wino węgierskie, czarna kawa: można też podać herbatę, bardzo elegancko ubrane malusieńkie tartiniki, a dopiero później słodycze.

Five-o-clock weselny.

Podajemy poniżej trzy zestawienia takich przyjęć, zaczynając od najskromniejszych.

I.

Malusieńkie kanapki, ozdobione garnirowanemi zimnemi mięsami, wędliną, grzybkami, korkorniszonami, kremem z wątróbki, kremami z serów i t. p. Im większa rozmaitość tem lepiej.
Słone paluszki kruche.
Tort domowy, sałatka z sezonowych owoców.

II.

Vermouth z lodu, sandwicze.
Torty domowe.
Sałatka ze świeżych owoców z lodu.
Owoce osmażane i czekoladki układane w ozdobnych szklanych, czy porcelanowych talerzykach.
Wino węgierskie.
Czarna kawa i likiery.

III.

Małe sandwicze przekładane kremami: z wątróbki, parmezanu, szynki, orzechów włoskich.
Baba savarini z brzoskwiniami i ananasami.
Torty domowe.
Świeże owoce jak: winogrona, mandarynki, pomarańcze, jabłka, ananas (może być z konserwy).
Cukry i czekoladki.
Cocktaile (ostrożnie z własnemi kombinacjami), szampan mrożony, stary węgrzyn, czarna kawa i likiery.

Jeżeli przyjęcie przeciąga się, matka panny młodej lub pana młodego (lub osoby, które je zastępują) odwozi młodą parę do jej mieszkania, gdzie zgodnie z tradycją powinien ktoś z bliskich przyjąć ich chlebem i solą.

Obowiązkiem młodych małżonków jest z chwilą gdy zaczną składać wizyty poślubne (mniej więcej sześć tygodni po ślubie) złożyć wizyty wszystkim parom małżeńskim lub paniom, które były na przyjęciu weselnem, nawet gdyby nie mieli zamiaru podtrzymywać z niemi nadal zażyłych stosunków.

SREBRNE WESELA.

Na zakończenie parę słów o tak rzadkich, a przy coraz powszechniejszej epidemji rozwodów niestety, coraz rzadszych — srebrnych, złotych i brylantowych godach. Przyjęcia urządza się mniej więcej tego samego typu, co wyżej opisane.



Poncz i grog podaje się na gorąco w specjalnych wazach.

Dekorację stołu stanowi tutaj bukiet ze srebrnych, złotych lub kryształowych kłosów, ofiarowany przez rodzinę i przyjaciół małżonków, obchodzących gody.

Marzenna Sarjusz-Stokowska.

Przepisy na potrawy weselne.

SANDWICHE (SANDWICZE). Sandwich jest to rodzaj kanapki, przygotowanej z dwóch kawałków pszennego chleba, albo bułki, które się smaruje masłem i przekłada dowolnemi dodatkami. Można je też robić z niewielkich, wykwintnych, delikatnych bułeczek, przekrojonych na dwie równe części. Jest to elegancki sposób uzupełnienia podwieczorku, albo też podania w godzinie przedobiadowej do Vermouth'u, lub win.

Wykrajać zręczne trójkąty z białego chleba, lub bułki, okrajanej ze skórki. Posmarować dosyć grubo wykwintnem masłem deserowem, przekładać w sposób urozmaicony. Z mięsiw i wędlin odpowiednie do przekładania sandwich'ów będą: szynka wieprzowa, gotowana, całkowicie obrana z tłuszczu, cielęcina pieczona, ozór peklowany, rozbef po angielsku, pasztet szynka wieprzowa świeża pieczona, piersi drobiu, lub ptactwa dzikiego. Mięso i wędlina do garnirowania sandwiczów powinny być krajane cienko, dostosowane kształtem i wielkością do pieczywa. Nie mogą ani wystawać poza brzegi, ani też nie dochodzić do brzegów.



Królewski owoc, ananas, podawany na surowo.

Doskonałe będą sandwicze z różnemi serami, z ucieranemi z masłem tartemi serami, czyli „kremami z serów", z kremem z wątróbki, z listkami świeżej sałaty, polanemi gęstym majonezem, z plasterkami ogórków świeżych, lub z konserwy, z plasterkami pomidorów, ze świeżemi pieczarkami, przemacerowanemi tylko w soli i soku cytrynowym.

WYKWINTNY KREM Z WĄTRÓBKI. 15 dk wątróbki cielęcej moczyć 2 godziny w słodkiem surowem mleku. Wymyć w zimnej wodzie, obrać z błony, osączyć, pokrajać w niewielkie, grube kawałki. Pół średniej wielkości cebuli cukrowej pokrajać w plasterki, poddusić z łyżką masła deserowego, ułożyć na cebuli wątróbkę (nie solić) i dusić bez przykrycia na wolnym ogniu nie dłużej, jak 20 minut, często obracając kawałki z jednej, na drugą stronę. Gdy wątróbka przestygnie zemleć ją dwukrotnie, (wraz z cebulą), na maszynie od mięsa, przefasować przez sito. Wygrzać na parze miseczkę, włożyć 15 dk masła deserowego, utrzeć łyżką drewnianą na śmietanę, dodać wątróbkę, ucierać jeszcze 10—15 minut. Posolić do smaku, kto lubi, dodać odrobinę białego pieprzu mielonego, gdy lekko stężeje przekładać sandwiche na pół palca grubo.

PASZTET WE FRANCUSKIEM CIEŚCIE VOL-AU-VENT. Proporcja. 1 kura, amoretki, pieczarki, wątróbki kurze, szyjki, łapki rakowe.

Wypiec rant z francuskiego ciasta na półmisku ogniotrwałym. Obrać mięso z ugotowanej pulardy, ugotować amoretki, udusić młode pieczarki, obrać sporą ilość szyjek rakowych, dodać kilka wątróbek kurzych, zgrabnie podzielonych i wrzucić to wszystko w sos, zrobiony następującym sposobem: zasmażyć łyżkę masła z mąką, rozprowadzić rosołem z kury, zacisnąć do smaku cytryną, dodać odrobinę cukru dla złagodzenia i łyżkę masła deserowego. Z sosem tym wymieszać wszystko uprzednio przygotowane, napełnić tą potrawą półmisek, otoczony rantem z francuskiego ciasta, wstawić do pieca dla rozgrzania i podawać natychmiast.

INDYK PIECZONY NADZIEWANY. Farsz: cielęca wątróbka, pół franc. bułki, łyżka masła, 2 jaja, 2 żółtka, pół szklanki rodzynków, trochę pieprzu, albo muszkatułowej gałki, 2 kawałki cukru. Drugi farsz: 6 jaj, pół szklanki rodzynków, trochę szafranu, łyżka masła, 1 szkl. sucharka, 1—1½ szklanki mleka. Trzeci farsz: 40 dkg kasztanów, 10 dkg szpiku, łyżka masła, 5 dkg migdałów, 1 szkl. sucharka, 1½ szklanki mleka, łyżka cukru, trochę muszkat. gałki.

Oskubać, oczyścić indyka i powiesić na kilka dni w chłodnem miejscu, aby skruszał; wyłamać ostrożnie kość piersiową i przygotować nadzienie następującym sposobem: ugotować i pokrajać drobno wątróbkę, posolić, dodać kawałek bułki w mleku wymoczonej, lub sucharka, łyżkę surowego masła, parę całych jaj i parę żółtek, rodzynków drobnych bez pestek, angielskiego pieprzu, lub gałki muszkatułowej i cukru.

Zmieszać to w jedną masę, którą nałożyć za skórę indyka od wola do piersi, tylko niezbyt tęgo, aby nie pękł w pieczeniu; piec na rożnie, lub brytfannie, zwolna polewając masłem. Można farsz robić i bez wątróbki, tylko dodać cztery jaja twardo ugotowane i dwa surowe, rodzynków czarnych bez pestek i szafranu, utartego na proszek; lub też, zamiast jaj i rodzynków, dać kasztanów pieczonych obranych z łupin, dodać jeszcze 10 dkg szpiku w kostki skrajanego, trochę oczyszczonych i usiekanych migdałów, a wszystko rozmieszane z poprzednim farszem, będzie doskonałe.

SANDACZ „AU GRATIN" CZYLI PO PARYSKU. Oczyszczonego sandacza rozpłatać, jak zwykle, na dwoje, a odrzuciwszy kość grzbietową i głowę, posolić; gdy tak godzinę poleży, wrzucić go na gorące, ale nie rumiane masło, dusić na wolnym ogniu na obie strony, nie rumieniąc, żeby ryba straciła zupełnie surowość. Odstawić do wystudzenia, a tymczasem zrobić beszamel. Wziąć łyżkę młodego masła, zagotować na biało z łyżką mąki, rozprowadzić surową dobrą gęstą śmietanką, biorąc na łyżkę masła szklankę śmietanki i ciągle mieszając, gotować na wolnym ogniu, aż zgęstnieje. Wtedy wziąć dwa żółtka, rozbić dobrze i zaprawić sos przestudzony, wsypać dwa deka tartego parmezanu i wymieszać.

Ostudzoną rybę pokrajać na kawałki, wybrać starannie ości, podłużny półmisek porcelanowy lub blaszany, wysmarować masłem, położyć połowę ryby, polać beszamelem, następnie drugą połowę ryby polać resztą, posypać znowu suto parmezanem, polać bułeczką, zrumienioną z młodem masłem i wstawić w gorący piec tak, aby tylko zgóry ciepło rumieniło rybę (półmisek można postawić na cegle, aby w dole nie było tak gorąco). Gdy się zrumieni, podać razem z półmiskiem.

Proporcja podana jest do kilowego sandacza. Można także pomiędzy rybę włożyć świeżo uduszonych pieczarek.

PIECZEŃ SARNIA LUB COMBER. Pieczeń sarnia, albo jelenią, najlepiej namoczyć w wodzie na noc; gdy zaś stara, to zamarynować na kilka dni w occie pół na pół z wodą i korzeniami, a pierwej wybić wałkiem. Kiedy wymoknie dobrze, gęsto naszpikować słoniną, położyć na blasze, lub brytfannie, przykryć wysmarowanym papierem i piec, przewracając często i polewając masłem, aby nie wyschła. Na dopieczeniu osypać bułeczką, albo chlebem tartym i przyrumienić: sos można osobno podać w sosjerce. Tak samo piecze się comber sarni, który jest daleko lepszy od pieczeni.

UDZIEC Z DZIKA PIECZONY. Proporcja. Udziec z dzika, 30 dkg słoniny, butelka wina, 2 marchwie, cebula, 6 goździków, trochę tartego chleba, albo bułki, liści bobkowych, pieprzu, jałowcu, rozmarynu, tymianku.

Osmaliwszy udziec z dzika, wymyć ciepłą wodą, powyjmować kości, naszpikować gęsto słoninką, natrzeć solą, pachnącemi ziołami i tłuczonemi korzeniami, obwiązać sznurkiem i niech tak kilka dni poleży, potem ułożyć go w rondlu, zalać winem pół na pół z wodą, przykryć pokrywą i dusić przez kilka godzin, aż będzie miękki; potem zebrać tłuszcz z sosu i zostawić jeszcze na godzinę na wolnym ogniu, aby się pieczeń dusiła; na ostatku wyjąć ją, położyć na brytfannie, posmarować tłustością, posypać tartą bułką, albo chlebem i dać do pieca, aby się przyrumieniła; na wydaniu pokrajać w ładne zrazy i ułożyć na półmisku.

Można pieczeń na kilka dni zalać przegotowanym octem z korzeniami.

SOS PORZECZKOWY DO ZWIERZYNY. Proporcja: 4 szkl. porzeczek, szkl. wina, 10—20 dkg cukru, łyżka mąki ziemniaczanej, trochę cynamonu.

Litr obranych porzeczek przetrzeć przez sito, wlać szklankę wina, wsypać miałkiego cukru, trochę cynamonu, zaprawić łyżką ziemniaczanej mąki, lub utartą i podsmażoną w maśle bułeczką i zagotować.

MELBA ANANASOWA. Przyrządzone normalnie lody ananasowe przekłada się w formie świeżym ananasem i dobremi makaronikami i zamraża razem. Podając porcjami, talerzyk lub kieliszek z lodami przykrywa się plastrem świeżego lub konserwowanego ananasa i ubiera makaronikami.

BOMBY. Do tego sposobu podawania lodów należy oprócz dwóch puszek do zamrażania dwóch różnych gatunków lodów, mieć jeszcze formę szczelnie zamykaną do zamrażania samej bomby, może to być forma do budyniu bez środkowej rurki. Po ustawieniu takiej formy w lodzie z solą, wykłada się jej dno i boki jednym gatunkiem lodów, otwór napełnia drugim gatunkiem, zamyka szczelnie i zamraża przez trzy godziny i więcej.

Można robić przy tem różne kombinacje smaków. W lodach śmietankowych podać truskawkowe, w czekoladowych cytrynowe i ananasowe. Można też do lodów, stanowiących jądro bomby, dodawać różnej cykaty jak najdrobniej posiekanej, owoców smażonych, dzięgielu (angeliki), lub też dolewać trochę araku, rumu czy aromatycznych likierów.

COCKTAIL SPORTOWY. 2 kieliszki gorzkiej pomarańczówki. Sok z dwóch malinowych pomarańcz (przecedzony). Szklaneczkę (szampankę) Vermouth'u włoskiego. Szklaneczkę Kirsch'u. Skłócić, zamrozić.

COCKTAIL WESELNY. Kieliszek soku ananasowego (naturalnego). Szklaneczkę (szampankę) Vermouth'u. Szklaneczkę (szampankę) słodkiego szampana, 2 kieliszki koniaku francuskiego w wysokim gatunku. Łyżeczkę od herbaty soku cytrynowego. Kieliszek od wina białego Kirsch'u. Skłócić, zamrozić.

COCKTAIL „JACKY". 2 kiel. Gin'u, 2 kieliszki Quetsch'u, 2 kieliszki likieru brzoskwiniowego, 1 łyżeczkę Absinth'u. Zacisnąć kilkoma kroplami soku cytrynowego, skłócić, zamrozić.

COCKTAIL „PARADIS". 2 kiel. soku pomarańczowego, 2 kieliszki Gin'u, 2 kieliszki likieru Abricotine, doskonale skłócić, zamrozić.

COCKTAIL „NEW-ALEXANDRA". 2 kiel. czystej wódki 45 procent w wysokim gatunku, 1 kieliszek koniaku francuskiego, 1 kieliszek likieru Creme de Cacao, 1 łyżeczkę surowej kremowej śmietanki, doskonale skłócić, zamrozić.

COCKTAIL „MARIAS IS GETTINGS US". Pół butelki francusk. szampana demi-sec, pół szklanki likieru Benedyktyn, kroplę Angostury; doskonale skłócić, zamrozić.

M. S. S.

ZROBIĘ TO SAMA

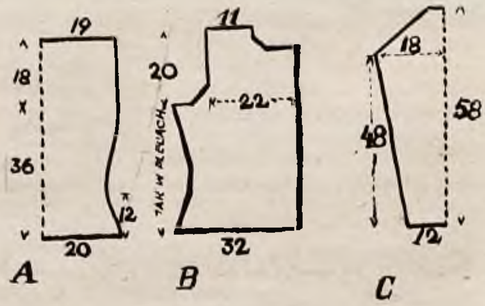
Garsonka wykonana na drutach



Komplet z włóczki „Marlena" w kolorze granatowym nr. 15008. Kołnierzyk z włóczki „Frascoti" w kolorze białym nr. 15501.

Tę miłą i ciepłą sukienkę możemy wykonać zależnie od potrzeby, z grubszej i cieplej, albo z cieńszej wełny. Model wykonany jest z włóczki „Trójkąt w Kole" „Marlena", która łączy w sobie lekkość i ciepło, gdyż zawiera wełnę króliczą „angorę". Wykonujemy suknię na drutach nr 2, 5. Zaczynamy robotę od dołu spódniczki, ilością oczek, odpowiadającą krojowi. W tym celu robimy podanym ściegiem próbkę na 10 oczek, mierzymy ją, i obliczamy liczbę oczek, odpowiadającą wymiarowi podanemu na kroju. Przód i tył spódniczki wykonujemy oddzielnie. Zaczynamy od dołu, i przerabiamy następującym ściegiem: naprzemian 7 oczek wprost, 3 nawywrót. Uważamy przytem, aby na środku spodniczki wypadło 7 oczek prawych. W każdym następnym rzędzie przesuwamy pasy o jedno oczko z obu brzegów roboty ku środkowi, patrz rycina. Pasy, które zejdą się w środku, zmniejszamy z obu brzegów aż do zniknięcia, w ten sposób uzyskamy szpice, względnie zęby, zwrócone ku górze.

Co 10 rzędów ujmujemy po jednem oczku z obu brzegów roboty. Gdy spodniczka jest już dość długa, zakończamy wszystkie oczka. Na-



A: połowa pleców.
B: połowa przodu.
C: połowa rękawa.
Krój na 96 cm. obwodu klatki piersiowej.

stępnie obrabiamy dolny brzeg spodniczki rzędem półsłupków i zeszywamy boki. Górny brzeg podszywamy taśmą i przeciągamy gumkę.

Żakiecik zaczynamy od dołu pleców i wykonujemy tym samym ściegiem. Z boków ujmujemy co 8 rzędów po jednem oczku, poczem na pas przerabiamy równo na wysokość 5 cm i w dalszym ciągu dodajemy co 6 rzędów. Po osiągnięciu pełnej szerokości pleców, przerabiamy równo do ramienia, gdzie zakończamy wszystkie oczka. Przody zaczynamy również od dołu i wykonujemy tym samym ściegiem, przesuwając pasy na prawym przodzie w lewo, na lewym w prawo. Na bocznych brzegach przodu ujmujemy i dodajemy, jak w plecach z tą różnicą, że wykonujemy teraz wycięcia na rękawy. Na wycięcia zakończamy luźno 10 oczek, poczem tak długo ujmujemy po jednem oczku na początku i na końcu rzędów z tego brzegu roboty, póki nie pozostanie tyle oczek, ile trzeba na szerokość kroju w tem miejscu. Na przednim brzegu przodów przerabiamy po 10 oczek z obu stron roboty stale wprost, jako obwódkę, przyczem w prawy przód wrabiamy dziurki na guziki. W tym celu zakończamy 4 oczka w środku obwódki i nabieramy w tem samem miejscu, w następnym rzędzie 4 nowe oczka. Wycięcie przy szyi zaczynamy na 5 cm poniżej ramion i wykonujemy w ten sam sposób, mo wycięcia na rękawy. Po ukończeniu ujmowania przerabiamy kilka (6—12) rzędów równo, poczem zakończamy oczka ramienia. Rękawy zaczynamy od dołu i wykonujemy tym samym ściegiem, co poprzednie części, uważając, aby ząb w deseniu wypadł na wierzchu rękawa. Z boków dodajemy co 6 rzędów z obu brzegów roboty. Na zaokrąglenie u góry rękawa ujmujemy z obu brzegów, po jednem oczku na końcu i na początku każdego rzędu, pozostałe 20



Ścieg do garsonki wykonanej z „Marleny".

oczek zakończamy. Rękawy zeszywamy wzdłuż i wszywamy, marszcząc je nieco w razie potrzeby. Dolny brzeg rękawa obrabiamy półsłupkami.

Pasek szeroki na 5 cm zaczynamy od krótszego brzegu i przerabiamy stale wprost tak, że powstają prążki. Po osiągnięciu odpowiedniej długości (80 cm) dzielimy robotę na dziurkę do guzika. Po przerobieniu na wysokość dziurki łączymy znowu robotę i ujmujemy, jak w rękawach, aby uzyskać zaokrąglony koniec. Pasek zapinamy na guzik, przyszyty do jego drugiego końca, względnie wykonujemy dziurki na obu końcach paska i zapinamy go na jeden z guzików żakietu. Z boków przytrzymujemy pasek patkami, wykonanemi szydełkiem.

Kołnierzyk wykonany szydełkiem z włóczki jedwabnej „Frascati", zaczynamy od wewnętrznego brzegu i szydełkujemy rzędami półsłupków, dodając nierównomiernie na całej długości, aby otrzymać zaokrąglony kształt. Oprócz tego dodajemy na brzegach. Gotowy kołnierzyk przeszywamy do wycięcia. Tl.



PANI może być czarującą i młodą, jeżeli...

Wywiady „Asa" z gwiazdami ekranu i sceny



Jedną z najbardziej uroczych artystek warszawskich jest bezwątpienia Karolina Lubieńska.

Poniżej: Irena Grywińska zdobywa widzów nie tylko walorami artystycznemi swej gry, ale również n... szelmowskim uśmiechem.



KAROLINA LUBIEŃSKA

Jestem w teatrze Polskim na sztuce Bus Feketego „Urodziny". W akcie trzecim wbiega na scenę przemiły piętnastoletni podlotek o jasnych warkoczach, w krótkiej sukience i wysokich butach do konnej jazdy. W przedostatnim akcie tensam podlotek jest już 35-letnią kobietą, żoną, zdradzającą z całą świadomością swego starszego męża. I ten podlotek i ten nowoczesny „wamp" to p. Karolina Lubieńska, artystka T. K. K. T., ulubienica warszawskiej publiczności. Przechodzę pamięcią role, które zdobyły tej młodej artystce uznanie prasy i sympatję stolicy. A więc pełna poezji i wiośnianego czaru kochanka Romea Julja, tajemnicza kobieta-Sfinks w „Maszynie piekielnej" Ewa w „Dziejach grzechu" na filmie, w „Pałacu na kółkach", obecnie w najbliższej przyszłości Kornelja w „Królu Lirze".

Odwiedzam panią Lalę — tak bowiem nazywają panią Lubieńską — w jej garderobie podczas przedstawienia.

— Co ja robię, żeby być wiecznie młodą i piękną? — odpowiada pani Lala Chyba pani coś strasznie nablaguję, bo prawdę powiedzawszy, nic nie robię.

— To niemożliwe — ośmielam się zaprzeczyć. Przed chwilą była pani autentycznym podlotkiem, teraz jest pani kobietą w pełnym rozkwicie... Przecież muszą być na to jakieś środki, sposoby...

— Ach — śmieje się pani Lala — w tym wypadku tajemnica mojego podlotka tkwi w warkoczach, dużej kokardzie i krótkiej spódniczce!

— Ale przecież nie mogę tego zalecić Czytelniczkom „Asa"! Choćby nawet chciały zaryzykować ten długi warkocz i wielką kokardę, to moda na to nie pozwoli!! Zresztą uważam, że to nietylko w tem tkwi urok młodości. Tę młodość trzeba mieć w sobie, trzeba ją troskliwie pielęgnować..

— A może właśnie to — przerywa mi pani Lala — że nie myślę i nie przejmuję się tem, że mogę być kiedyś stara, że mogę kiedyś zbrzydnąć, jest tym środkiem do pielęgnowania urody i młodości? Wiadomem jest przecież, że kobiety, które nie mają innych zainteresowań w życiu ponad swą u... dę, właśnie ze zmartwienia spowodu swej pierwszej zmarszczki, czemprędzej dostają drugą! A ja się tem nie martwię, poprostu nie mam na to czasu. Jeśli się gra w sezonie ze trzysta razy, do tego próby... A jeśli przyjdą zdjęcia filmowe! Ileż to razy wprost z przedstawienia spieszyłam do atelier lub na próbę do teatru wpadałam jeszcze ze szminką na twarzy!

Moim jedynym środkiem kosmetycznym to kąpiel i sen. No i urlop. Wtedy pływam namiętnie, a jestem doskonałą pływaczką, odbywam forsowne wycieczki górskie, prażę się w słońcu, leniuchuję. Nie odałabym jednego dnia urlopu za żadne skarby! Chciałabym przez te krótkie dnie wypoczynku wchłonąć w siebie tyle powietrza i słońca, by mi to wynagrodziło cały sezon spędzony wśród ciemnych kulis, rozjaśnionych jedynie słońcem sztuki i światłem kinkietów!

IRENA GRYWIŃSKA

Panią Irenę Grywińską, czołową artystkę Teatru Kameralnego w Warszawie, możnaby nazwać „Kwiatem podziemi". Talent jej bowiem, który na gruncie stolicy zabłysnął swym szczerym blaskiem przed kilku laty w „Monice" Szczepkowskiej, granej przez pięć miesięcy w podziemiach Reduty, w dalszym ciągu rozwija się i kwitnie w podziemiach przybytku sztuki przy ulicy Senatorskiej.

Takim artystycznym kwiatom nie potrzeba naturalnego słońca. Wystarczy im sztuczne słońce reflekorów i rampy scenicznej. To też i w p. Grywińskiej nie zdołały podziemia stłumić jej żywiołowego temperamentu, ogromnej bezpośredniości w grze i silnego wyrazu dramatycznego. Takie role, jak w „Kochankach" Grubińskiego, „Na drodze" Francka, Monika lub Ibsenowska „Nora" pozostaną nazawsze w pamięci widza, jako najwyższy poziom gry aktorskiej.

Ale, o dziwo, podziemia te nie wpłynęły również ujemnie i na warunki zewnętrzne artystki. Pani Irena nie jest bynajmniej jakąś anemiczną istotą o wyblakłych włosach, sztucznej cerze, wątłą, chylącą się jak trzcina na wietrze, jak zwykliśmy sobie wyobrażać mieszkańców takich podziemnych jaskiń. Nic z tego. Pani Irena to typ pełnej życia i energji pięknej brunetki, o zdrowej, naturalnej cerze i szarych, wesołych oczach. Biada jednakże temu, ktoby zawierzył tym oczom. Potrafią one też ciskać pioruny i błyskawice. W uśmiechu demonstruje pani Irena dwa rzędy olśniewających swą białością zębów.

— Proszę pani — zwracam się do artystki — jakim cudem, przebywając przez kilkanaście godzin na dobę w podziemiach, cieszy się pani takim wyglądem? Jak pani to robi, jakich używa środków?

— Bardzo niewyszukanych — odpowiada wesoło artystka. Tylko wody. Kąpię się codziennie i to wszystko. Ale nigdy na noc, lecz rano. Po największem zmęczeniu taka ciepła kąpiel a następnie silny, zimny tusz stawiają mnie na nogi, czynią rzeźką zdrową. Dzięki tym zimnym prysznicom nie zaziębiam się też łatwo i nigdy nie choruję. Zdrowie to przecież największa podstawa dobrego wyglądu. Jestem zdecydowaną przeciwniczką przesadnego maquillage'u na ulicę. Tyle tylko, żeby nie razić. Zresztą nie każden typ urody nadaje się do wygolonych brwi i cynobrowych rumieńczyków. Niech mnie sobie pani np. wyobrazi zrobioną na takiego nowożytnego wampa! Przecież to byłby szczyt nonsensu!

— Rzecz jasna — ciągnie dalej moja miła rozmówczyni, że do dobrego wyglądu kobiety przyczynia się w wielkiej mierze jej stan psychiczny. U nas artystek koncentruje się on w zadowoleniu z dobrej roli, uznaniu prasy i życzliwości widzów. Od przykrości życiowych uciekamy w świat złudy, jaki daje nam scena. Przeżycia bohaterek, w które się wcielamy, każą nam niejednokrotnie zapomnieć o własnych kłopotach i troskach.

Ach te codzienne drobne kłopoty i troski! To największe wrogi piękności i młodości kobiety. Gdyby z życia kobiet można je raz na zawsze usunąć i otoczyć atmosferą dobrobytu, ładu i harmonji, po świecie chodziłyby same „Wenusy" — zakończyła pani Irena z uśmiechem, niepozbawionym pewnej melancholji.

Zofja Ordyńska.

FILOZOFJA MODY

Charakter człowieka poznajemy nie tylko z ważnych w skutkach jego czynów, lecz również z drobnych, napozór nic nie znaczących jego upodobań, poglądów i odruchów. Dlatego też moda jest jednem z wielu zwierciadeł, w których odbija się człowiek z wszystkiemi swemi słabostkami, manjami i rysami... na charakterze!

Już pierwsze pytanie, jakie sobie historyk mody czy psycholog może postawić: dlaczego się ludzie ubierają? — jest nadwyraz ciekawe i ważkie. Uczeni podróżnicy stwierdzili dowodnie, że pierwotne ludy ubierają się bynajmniej nie dla celów praktycznych, lecz jedynie estetycznych oraz celem przypodobania się, jakoteż podkreślenia swej indywidualności. Nachtigal, podróżnik niemiecki, stwierdził, że w Bornu bogaci wkładali na siebie możliwie wielką ilość ubrań, zresztą bez potrzeby, a inny podróżnik Speker widział, jak w wschodniej Afryce w największy upał strojono się w skóry kozie, które mieszkańcy zdejmowali podczas zimnego deszczu, aby się nie zniszczyły. Od prawieków też istnieje pewne upodobanie do niektórych kolorów, które uważa się za symbol pewnych zalet, czy właściwości. Kolor czerwony, kolor krwi a stąd symbol odwagi, — od wieków służy przy tatuażu, a również królowie rzymscy i triumfatorowie malowali twarz i tułów tym kolorem. Pliniusz, historyk rzymski, podaje nam, że kobiety i dziewice celtyckie występowały przy uroczystościach nago, malując sobie ciało dów cywilizowanych. Przecież w średniowieczu, a potem w latach 1830—1860 również Europejczycy nosili ubrania nadwyraz wąskie w pasie, a znajdziemy to upodobanie również w modzie wojskowej po dziś dzień. W innych epokach moda starała się znów uwydatnić ramiona, używając w tym celu wszelkich sztuk krawieckich. Takie nadmiernie rozwinięte linje ramion znajdziemy w modzie XVI wieku.

Nadwyraz ciekawem jest pochodzenie naszego dzisiejszego ubrania w postaci najdawniejszej. Według niemieckiego historyka Lipperta pierwotne ubranie ludzi przedstawiało się w postac materj o trzech końcach, kórą zakładano naokoło bioder i taki też strój spotykamy na dawnych egipskich malowidłach. Dziwnym jest fakt, że ten sam strój znajdujemy dzisiaj u Szkotów, noszących tak zw. „kilt". Z tej dopiero materji ludzkość postąpiła krok naprzód, tworząc „chiton", tj. podłużną w kształcie materję, z wycięciem na rękę. Na biodrach zakładano pasek, zapomocą którego chiton można było odpowiednio sfałdować. Z zeszycia materji po bokach powstała przy równoczesnem wycięciu otworu na głowę, pierwsza koszula. Grała ona w starożytności ogromną rolę, gdyż była równocześnie strojem mężczyzn i kobiet. Spotykamy się z nią zarówno u Greków, u Germanów, na wazach peruańskich, a nawet w Australji. Przez przecięcie koszuli wpół powstają dopiero dwie odrębne części ubioru, które utrzymały się do dziś dnia.



Na lewo: Tatuaż stanowił najdawniejszą ozdobę ciała ludzkiego, dając pole do popisu indywidualnemu artyzmowi.





Od lewej: Oto jak szczep Mekeo, zamieszkały nad zatoką Papua, podkreśla smukłość talji. — Pogrubianie ramion przez modę było jedną z cech strojów XVI wieku.

kolorami czarno-niebieskiemi. Gdy Cezar wylądował w Brytanji zastał tam podobny zwyczaj. Pierwszym objawem artystycznego pociągu do przyozdabiania ciała jest bezwątpienia tatuaż, który przetrwał po dziś dzień. Również wszelkie przekłuwanie nosa, uszu, wargi itd. u dzikich ludów należy uważać za pochodzące z tychże samych pobudek.

Niemniej ciekawem jest, że od wieków ludzie starali się podkreślić pewne cechy ciała ludzkiego za pomocą ubrania, uważając to za ozdobę. I tak istnieje u dzikich ludów zwyczaj opasywania się w biodrach, celem uwydatnienia ich smukłości, co zresztą znajdziemy również w modzie naro-

Zupełnie fałszywym jest punkt widzenia, jakoby moda „robiona" była przez kilku krawców o światowej sławie, którzy narzucają ją ludzkości. Trzeba wziąć pod uwagę, że moda, która się nie podobała ogółowi, skazana jest na zagładę, czego zresztą byliśmy wszyscy niejednokrotnie świadkami. Gdy na kilka lat przed wojną Paryż lansował „jupe-culottes" — spódnicę-spodnie, nikt nie zastosował się do tej mody. Nie można więc twierdzić, jakoby moda powstawała poza nami, wbrew nam. Kupujący jest współtwórcą mody i ponosi za nią odpowiedzialność. Dlatego też właśnie moda charakteryzuje ducha epoki i jest świetnym termometrem, wskazującym na panującą atmosferę moralną i estetyczną w danej chwili.



Szkoci do dziś dnia posługują się chustką trójkątną, która stanowiła najstarszy strój ludzkości.



Na lewo: Stroje średniowieczne również kokietowały wciętą talją.

Z tych też względów śmiało można powiedzieć, że historja mody, dzieje stadjów przechodzenia jednej mody w drugą, dziwactwa jej i szczególności są cennym materjałem do poznania ludzkiego charakteru i psychologji artystycznej człowieka.

Jan Maleszewski.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

JAJA W GALARECIE. 8—10 jaj na twardo zawinąć w mięsny farsz, sporządzony w następujący sposób: Około 50 dkg mięsa mieszanego tj. wieprzowego i cielęcego oraz bułką rozmoczoną i wyciśniętą, puszcza się dwa razy przez młynek do mięsa, następnie dodaje 2 jaja, 4 łyżki mleka, soli i pieprzu i uciera łyżką aż mięso zbieleje. Tą lekką masą owija się każde jaje, otarza w przesianej bułeczce i smaży w mięszanym tłuszczu jak pączki. Po ostudzeniu przekrawuje się każdą sztukę wzdłuż i układa na szklanej salaterce, przybierając kaparami, ładnie wykrojonemi jarzynami, piklami oraz gałązkami pietruszki, poczem zalewa się przez sitko całą potrawę galaretką, sporządzoną z 10 płytek białej żelatyny, rozpuszczonej w szklance gorącej wody z dodatkiem kostki buljonu, soku cytrynowego i szczypty cukru. Salaterkę stawia się w zimnie do zastudzenia i podaje w niej na stół.

TORT BISZKOPTOWY Z MASĄ ORZECHOWĄ. 6 żółtek utrzeć z 6 łyżkami stołowemi cukru, dodać 2 łyżeczki dobrego kakao, pianę z 6 białek i 3 łyżki stołowe mąki. Upieczony tort, przekroić na drugi dzień na 3 płytki i przełożyć następującą masą: 12 dkg zmielonych orzechów włoskich sparzyć małą szklanką wrzącej śmietanki i wymieszać. Osobno utrzeć na pianę 12 dkg deserowego masła, dodać 12 dkg mączki cukrowej z wanilją i wymięszać z wystudzoną tymczasem masą orzechową. Przełożone płytki zestawia się razem i pokrywa resztą kremu z wierzchu i po bokach.

CHACHÉE. Z pozostałej pieczeni sarniej lub zajęczej sporządzi oszczędna gosposia zupełnie nową i smaczną potrawę do obiadu lub na kolację, wedle następującej recepty: Kawał pieczeni miele się lub sieka drobno, dodaje 8—10 sztuk siekanych pieczarek, łyżeczkę utartych szalotek (małych cebulek), łyżeczkę siekanej zielonej pietruszki i dusi na maśle, zalawszy kieliszkiem białego wina. Po 15. minutach posypuje się łyżeczką mąki, zasmaża, podlewa rosołem lub wodą i zaprawia solą, pieprzem i sokiem cytrynowym. Potrawę podaje się obłożoną krokietami z bułki lub ziemniaczków.

LEGOMINA Z CZERSTWEJ STRUCLI. Resztki strucli pokrajać w cienkie plastry (ilość ma odpowiadać 6—7 bułeczkom) i ułożyć na wysmarowanej masłem głębszej patelni. 2—3 jaja rozkłócić w szklance mleka i płynem tym zalać struclę. Po godzinie, kiedy już mleko wsiąknie w ciasto, rozpuścić 5 dkg masła, polać niem legominę i wstawić do gorącego peca na pół godziny. Od czasu do czasu należy ciasto łopateczką rozrywać i odwracać. Wreszcie posypuje się legominę garstką rodzynków i cukrem z cynamonem, skrapia winem lub rumem i wstawia jeszcze na 10 minut do pieca. Legominę podaje się gorącą na sucho lub z szodonem.

SAŁATKA OWOCOWA. Pół kg dobrych aromatycznych jabłek zeszatkować cienko, 4 duże pomarańcze pokrajane w plastry, 10—15 dkg dobrych śliwek suszonych wymytych w gorącej wodzie i następnie drobno posiekanych, 25 dkg bananów i 10 dkg parzonych migdałów, wszystko pokrajane, 10 dkg rodzynków koryntek i malagi (bez pestek), wszystko kropione rumem lub likierem, wymieszać z szklanką surowej, nie bitej kremówki. Kto nie chce użyć (dla linji) śmietanki, może zaprawić sałatkę miodem lub sokiem owocowym.

LEGOMINA Z KASZTANÓW NA ZIMNO. Pół kg kasztanów ponakrawać i ugotować, obrać z podwójnej łupy, zalać szklanką śmietanki i rozgotować na masę, którą następnie należy wymieszać z paru łyżkami cukru z wanilją (cukru wedle smaku, kasztany łatwo się przesłodzą i wtedy są mdłe). Masę kasztanową przeciska się przez maszynkę do ziemniaków na środek półmiska i stawia na lodzie. Tuż przed podaniem obsypuje się piramidkę kasztanową siekanemi pistacjami i otacza sztywno ubitą kremową śmietanką z cukrem i wanilją.

Sc. Ko.



GOTOWANIE JAJ

Praktyczny przyrządzik do gotowania jaj, przy pomocy którego można 6 jaj wstawić odrazu do gorącej wody i po ugotowaniu — bez parzenia palców — wyjąć na talerz.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 2 — Styczeń — Dni 31
Niedziela **5** Telesfora	Zupa oxtail. Paszteciki mięsne omletowe. Gęś pieczona z duszoną kapustą. Kompot z jabłek i śliwek. Strudel z makiem. Kolacja: Zimna gąska z obiadu, sałatka jarzynowa.
Poniedziałek **6** Trzech Króli	Zupa z drobiu. Wątróbki gęsie z ryżem. Pieczeń sarnia z borówkami. Tort biszkoptowy z masą orzechową. Kolacja: Jaja w galarecie z sosem tatarskim. Pączki do herbaty.
Wtorek **7** Walentego	Barszcz czysty z uszkami. Ryjek wieprzowy z chrzanem. Zraziki cielęce w pomidorowym sosie z ryżem. Naleśniki z serem. Kolacja: Sałatka rybna w majonezie.
Środa **8** Seweryna op.	Zupa grochowa z grzankami. Piław turecki z baraniny i ryżu. Befsztyki w garniturze z jarzyn. Kompot z suszonych moreli. Kolacja: Pasztet z dziczyzny.
Czwartek **9** Juljana	Kapuśniak z kiełbasą. Brukselka z rumianem masłem. Pieczeń barania na dziko z kluskami bułczanemi. Suflet z jabłek. Kolacja: Smażone cynaderki, puree z ziemniaków.
Piątek **10** Pawła pust.	Zupa z bułek. Naleśniki z kapustą. Karp na szaro z makaronem. Buchtle drożdżowe z konfiturami. Kolacja: Śledź marynowany, ziemniaki w mundurkach.
Sobota **11** Honoraty, Hig.	Rosół z grzybkiem. Sztuka mięsa zapiekana w beszamelu. Pieczeń wieprzowa z kapustą. Pączki ptysiowe. Kolacja: Pierożki mięsne z rumianem masłem.



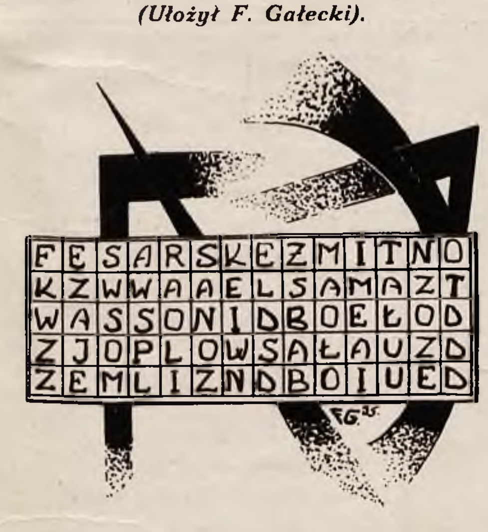
KOLENDNICY U PREMJERA LAVALA



— *Jak długo jeszcze będę tego słuchał?*

Przekładanka literacka.

(Ułożył F. Gałecki).



Przestawiając odpowiednio litery w rzędach poziomych, Czytelnicy otrzymają imię i nazwisko wielkiego autora polskiego, oraz tytuły czterech jego utworów powieściowych.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. W BARZE.

Pan Popijalski, pan Podpijalski i pan Przypijalski spotykali się codziennie w barze „Na wesoło" z czterema swymi przyjaciółmi, panami: Wypijalskim, Zapijalskim, Barbanckim i Łykalskim. Nie podobało się to czcigodnym małżonkom, zebrały się więc na naradę i postanowiły, że panu Popijalskiemu będzie wolno zaglądać do baru co siedem dni, panu Podpijalskiemu co sześć dni, panu Przypijalskiemu co pięć, panu Wypijalskiemu co cztery, panu Zapijalskiemu co trzy i panu Barbanckiemu co dwa dni. Pan Łykalski jest jak dotąd kawalerem i oczywiście będzie nadal zaglądał do baru „Na wesoło" codziennie. Jak często spotykała się cała kompanja siedmiu przyjaciół w barze i którzy panowie najczęściej tworzyli czwórkę do bridża?

2. PODZIAŁ NAGRODY.

Dwóch mistrzów szachowych rozgrywało mecz o nagrodę w wysokości 1400 zł. Premja miała przypaść w udziale temu graczowi, który pierwszy rozstrzygnie na swoją korzyść 5 partyj, przyczem remisów miano nie brać pod uwagę. Nagła konieczność wyjazdu jednego z graczy nie pozwoliła na skończenie meczu przy 3 partjach wygranych przez A i 4 przez B. W jakim stosunku należy podzielić nagrodę?

3. KŁOPOTY Z DZIEĆMI.

Wdowiec ożenił się powtórnie z wdową, przyczem oboje posiadali już dzieci. W kilka lat po ślubie między dwanaściorgiem dzieci wywiązała się wielka bójka. Matka z krzykiem przybiegła do ojca, wołając: „Chodź prędko! Twoje dzieci i moje dzieci pobiły nasze dzieci!". Jeśli każde z rodziców miało teraz po dziewięcioro, to ile się urodziło po ich ślubie?

4. TRZY WIOSKI.

Nowa Wieś i Stara Wieś leżą o $7\frac{1}{2}$ km. od siebie. Wieśniak wychodzi z Nowej Wsi w tej samej chwili, co jego żona ze Starej Wsi i oboje udają się do trzeciej wioski, Małej Wsi, dokąd przychodzą równocześnie. Wieśniak idzie dwa razy szybciej od swej żony. Gdyby udał się wpierw do Starej Wsi, a potem dopiero do Małej Wsi, to musiałby być w drodze dwa razy dłużej. Gdzie właściwie leży mała Wieś?

5. MATKA I CÓRKA.

— Mamo, kup mi rower — prosiła dwunastoletnia dziewczynka.

— Jesteś jeszcze za młoda — odpowiedziała matka — dostaniesz rower, gdy ja będę tylko trzy razy starsza od ciebie.

Matka ma teraz 45 lat. Za ile lat córeczka dostanie rower?

6. SZEŚĆ DOMKÓW.

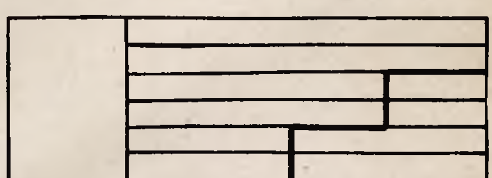
Jezioro było otoczone drogą długości 27 kilometrów. Przy tej okrężnej drodze stało sześć domków rozmieszczonych w ten sposób, że poszczególne domki stały od siebie w odległości jednego, dwóch, trzech, czterech itd., aż do dwudziestu sześciu kilometrów, licząc oczywiście wzdłuż drogi.

Tak więc naprzykład Kowalski mógł mieszkać o kilometr od Zawadzkiego, Głowacki dwa kilometry od Nowickiego, Grabowski trzy kilometry od Głowackiego itd. Odległości można naturalnie liczyć w dowolnym kierunku?

Rozwiązania z N-ru 44.

1. PIRACKA FLAGA.

Rysunek wskazuje, jak należy rozciąć flagę na dwie części — wzdłuż linji łamanej. Jeśli się



następnie dolną część przesunie o jeden zygzak wgórę i zeszyje, to flaga będzie mieć w myśl warunków zadania dziesięć pasów.

2. OSIEM ÓSEMEK.

$$\begin{array}{r} 888 \\ +\ 88 \\ +\ 8 \\ +\ 8 \\ +\ 8 \\ \hline 1000 \end{array}$$

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

Literatura dla młodzieży wzbogaciła się ostatnio o kilka ciekawych i wartościowych pozycyj, które niewątpliwie stanowić będą równocześnie interesującą lekturę i dla dorosłych.

Nakładem „Roju" ukazały się dwa opowiadania **Wacława Sieroszewskiego: „Wśród lodowców"** i osobno **„Ptaki przelotne"**. Pierwsze opowiadanie pisane wybornym stylem i pięknym językiem, maluje epizod z dziejów martyrologji sybirskiej, dając żywy obraz ucieczki polskich zesłańców łodzią po obfitującej w niebezpieczeństwa rzece ku Oceanowi Lodowatemu, a potem do Ameryki. Akcja przedstawiona jest niezwykle plastycznie i z dużem napięciem. Pierwiastek patrjotyczny opowiadania jest umiejętnie stonowany, co stanowi również dużą zaletę dobrego opowiadania. „Ptaki przelotne" obrazują zmagania i przeżycia załogi statku „Nadzieja", zamkniętego w okowach lodowców.

Zygmunt Nowakowski, który jest obecnie ulubionym pisarzem nietylko starszego społeczeństwa, ale i młodzieży, kilkanaście swoich dobrych, nierzadko znakomitych opowiadań, przeznaczonych do nowoczesnych podręczników szkolnych, zebrał w pokaźny tom, który p. t. **„Złotówka Manoela"** ukazał się nakładem Gebethnera i Wolffa. Świetna znajomość psychiki młodzieży, szczery artyzm, dyskretna a głęboka ideologja, miły humor, doskonały styl, oto zalety opowiadań Nowakowskiego, ozdobionych w książkowem wydaniu ilustracjami S. Bobińskiego.

Ciekawą, bezpretensjonalną gawędą jest książka niedawno zmarłego weterana powstania styczniowego, **Stefana Brykczyńskiego**, która ukazała się nakładem Gebethnera i Wolffa p. t. **„Moje wspomnienia. Rok 1862"**. Autor wspomnień, jako 15-letni uczeń liceum lubelskiego uciekł wraz z kilkoma kolegami do oddziału partyzanckiego i przebył całą kampanję wszystkich walk, toczonych na ziemi radomskiej i lubelskiej. Opowiadania naocznego świadka są niezmiernie wierne, plastyczne, pisane żywo.

Kornel Makuszyński, pisarz, o którym powszechnie wiadomo, że serce ma w herbie, wydał nową, dziewiątą z rzędu humorystyczną powieść dla młodzieży p. t. **„Wyprawa pod psem"** (nakł. Gebethnera i Wolffa). Powieść Makuszyńskiego, podobnie jak poprzednie, jest peanem na cześć dobrego serca ludzkiego. Przygody trzech szesnastoletnich uczniów gimnazjum warszawskiego, którzy wybrali się w wędrówkę po ziemi polskiej, obfitują w liczne sposobności okazania dobroci i szlachetności. Beztroski humor, pogoda, świetne dowcipy i naciągania wzajemne chłopców, urozmaicają dramatyczne, a zawsze dobrze się kończące epizody, czy to z wypędzaniem podejrzanych duchów, czy też z ratowaniem dziecka w czasie powodzi. Książka Makuszyńskiego z ilustracjami Sopoćki, będzie z pewnością znowu jedną z najmilszych lektur młodzieży.

(swb).

NA SCENIE.

„Teatralna popularność komedji muzycznej w ostatnich czasach jest niewątpliwie symptomatyczna" Wydaje mi się, że w ten sposób współczesna publiczność teatralna manifestuje swą niechęć do naturalizmu. Przecież pomimo wszystko w komedji muzycznej, podobnie jak w operetce, istotne są prawa innej rzeczywistości, aniżeli rzeczywistości, naśladowanej w każdej sztuce naturalistycznej. Są to prawa poezji. Nie chodzi nam w tej chwili o gatunek poetyckości, który przejawia się w komedji muzycznej. Chcielibyśmy tylko stwierdzić, że istnieje u współczesnej publiczności teatralnej głód poetycki, który zaspakajany jest wystawianiem komedji muzycznej.

Jest to już sprawa wogóle poziomu współczesnego teatru, że głód ten u widza zaspakaja on poetyckim kiczem, bojąc się prawdziwej poezji na scenie. Nie wydaje mi się, żeby to była specjalnie racjonalna gospodarka artystyczna. Raczej przeciwnie: teatr mógłby tu sprytnie zastawić sidła na współczesnego człowieka i schwytać go dla czaru prawdziwej poezji. Niestety jednak teatr współczesny woli dawać namiastki w miejsce prawdziwej sztuki".

Te ciekawe i niepozbawione wielu słusznych spostrzeżeń uwagi, notuje na łamach jednego z dzienników poznańskich, krytyk Konstanty Troczyński w związku z premjerą w **Teatrze Polskim w Poznaniu** komedji muzycznej **„Piosenka o Nadinie"** (tekst Jana Lectraz'a, muzyka E. Straussa, przekład M. Hemara). Niezawsze teatr jest winien, często publiczność zapełniać będzie widownie na błahych komedyjkach muzycznych, a stronić od teatru, gdy na scenie odżyje wielka poezja.

„Piosenkę o Nadinie" sprawnie wyreżyserował Roman Zawistowski, a świetnie zagrali swe role Janina Porębska, Kierczyński i Barbara Ludwiżanka

(swb).

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 5 I. 1936 r.

16.30: Transmisja nabożeństwa z Warszawy.
12.15: Poranek muzyczny z Wilna
14.00: „Pierwsi nasi królowie" — rozdział z książki pt. „Było tak", Juljana Wołoszynowskiego.
14.20: Muzyka salonowa.
16.00: „O Stasiu narciarzu" — opowiadanie Jerzego Giżyckiego.
17.00: Muzyka taneczna.
18.00: Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera.
18.30: Słuchowisko oryginalne Arnolda Wilnera p. t. „Jubilat".
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30: „Podróżujmy" — „Historja z końca świata" — feljeton.
22.00: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 6 I. 1936 r.

10.30: Transmisja uroczystego nabożeństwa z Katedry Ormiańskiej we Lwowie.
13.50: Fragment słuchowiskowy Zofji Nałkowskiej p. t. „Dom kobiet".
15.00: Orkiestra Adama Stromberga i Władysława Kaczyńskiego.
15.30: Słuchowisko wiejskie p. t. „Heca w Jaźwinach" — Janusza Stępowskiego.
16.20: „Pasjans i robótki" — pogadanka.
16.35: Słuchowisko „Wielka stawka" (z Wilna).
17.05: Recital fortepianowy Ireny Kaszowskiej.
17.50: Muzyka taneczna.
18.35: „Szopka na Starem Mieście" — Or-Ota — słuchowisko dla dzieci.
20.45: Arje i pieśni w wykonaniu Mieczysława Saleckiego.
21.15: „Wieczór literacki poświęcony Ignacemu Chodźce" (z Wilna).
23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek, 7 I. 1936 r.

12.15: Koncert południowy.
15.30: Piosenki i melodje.
16.15: Koncert Orkiestry Reprezentacyjnej 36 p. p. pod dyr. por. A. Chrapczyńskiego.
17.00: „Płynny węgiel" — odczyt (z Wilna).
1?.30: „Robinsonada morska".
20.10: „Wesele miechowskie" — audycja regjonalna.
21.00: Koncert Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki.
22.00: „Odgłosy Abisynji" (reportaż z oryginalnemi płytami abisyńskiemi).
22.45: „Pasteur, Koch, Lister" — odczyt.

Środa, 8 I. 1936 r.

12.30: Koncert zespołu Haliny Adamskiej.
16.00: „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci starszych.
16.20: Pieśni ludowe w wykon. Janiny Kay-Kuczyńskiej.
17.30: „Płyty dla znawców" (z Wilna).
18.00: „Świat się śmieje".
18.10: Wesołe kolendy i kantyczki (z Krakowa).
20.00: „Gwiazdy przez kalkę" — audycja rewjowa.
21.00: XIX-ta audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.35: Szkic literacki, wygłosi dr. Tadeusz Boy-Żeleński.

Czwartek, 9 I. 1936 r.

13.00: Koncert trja salonowego.
15.30: Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego.
16.00: „A Marceljanek wciąż wędruje" — opowiadanie dla dzieci.
16.45: „Od Warmji do Kujaw" — „Pokłon Pomorzan w szopie" — koncert.
17.05: „W fabryce Forda" — odczyt.
17.20: „Egzotyczna podróż" — reportaż.
18.05: Recital fortepianowy Fanny Czertok-Alperowiczowej.
18.50: „Film, plastyka, architektura".
20.00: Muzyka lekka z udziałem Tadeusza Faliszewskiego.
21.00: Słuchowisko oryginalne pt. „Goście na wiecu".

Piątek, 10 I. 1936 r.

12.15: „Legenda o Panajezusowej Choince" — audycja dla szkół.
16.15: Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego.
17.00: „W pracowni entomologicznej" — reportaż.
20.00: „La Serva Padrona" (Służąca panią) — opera w I akcie.
21.05: „Koncert — oryginalny i parafrazowany walc fortepianowy.
21.35: Muzyka lekka.
22.10: Ernest Toch: „Chiński flet" symfonja kameralna na 14 solowych instrumentach i sopran.

Sobota, 11 I. 1936 r.

12.15: Koncert orkiestry kameralnej.
14.30: Rytmy polskie (koncert).
15.30: Koncert chóru Juranda.
17.00: „Z sekretów stolicy" — odczyt.
17.45: „Pijawka" — pogadanka.
17.50: „Horodno i Biłgoraj" — pogadanka.
18.55: „Mięsopust góralski" — gawęda.
20.00: „Goethe — natchnieniem muzyków" — reportaż muzyczny.
22.00: „Klasycznie, a jednak nowocześnie" — radjopotpourri — z Wiednia.
23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.